

KLASYKA



Władca skalnej doliny

James Oliver Curwood

James Oliver Curwood

WŁADCA SKALNEJ DOLINY

ROZDZIAŁ I

Tyr, nieruchomy i milczący niby olbrzymi głaz o rudawym odcieniu, przez długie minuty błdził wzrokiem po obszarze swego państwa. Wzrok miał słaby; oczy grizlich są zbyt małe i osadzone zbyt szeroko, by mogły dobrze widzieć. W odległości, jakiej pół mili rozróżniał jeszcze kozicę skalną od górskiego barana, ale poza tą granicą świat stawał się dlań jedynie tajemniczą głębią spowitą w mgłę złotą od słońca lub w opary mroku.

W tej chwili stęzał i znieruchomiał poddając się działaniu wężu. Z głębin doliny nadeszła jakaś woń, której nie czuł nigdy przedtem. Woń ta była obca jego dziedzinom i drażniła go ogromnie. Powolny, ocieęzały umysł niedźwiedzia próżno silił się odgadnąć jej treść.

Nie karibu — zabił już ich przecie tyle! Nie kozica, nie baran. A także nie leniwy i tłusty świstak, wygrzewający się w słońcu na skale. W życiu swym zjadł już setki świstaków.

Woń nie budziła w nim pożądania ani lęku. Zaciekawiała go tylko. Tyr jednak nie ruszał na zwiady, instynkt nakazywał mu ostrożność. Gdyby mógł nawet ogarnąć wzrokiem milowy czy dwumilowy krąg, nie dowiedziałby się nic ponad to, co mu wieściło tchnienie wiatru z doliny.

Grizli zatrzymał się na krawędzi małej kotliny.

Tuż pod nim rozpościerała się dolina, a powyżej widniała przełęcz, przez którą przybył tego popołudnia. Kotlina przypominała czarę wyżłobioną w zielonym stoku górskim i jako że był właśnie czerwiec, osnuła ją bujna miękka murawa i kwiaty; z trawy wyglądały górskie fiołki, kępy niezapominajek, dzikie astry i hiacynty.

Pośrodku czerniała sadzawka rzadkiego ładu, w którym Tyr lubił się babrać, ilekroć mu dolegały zbite na kamieniach łapy.

Od wschodu, zachodu i północy rozwijała się cudowna panorama Gór Skalistych, a złoty blask czerwcowego słońca łagodził ostre zarysy jej krawędzi. Ze szczytów skalnych i z głębi dolin, spośród wyrw tnących górskie grzbiety, z dna krętych szczelin, z rumowisk, głazów pnących się ku wiecznym śniegom płynął lekki szelest. Była to muzyka wód. Zawsze unosiła się w powietrzu, bo rzeki, potoki i strumyki spływające ze śniegiem, który wiecznie leżał pod chmurami, nigdy nie milkły.

Powietrze tchnęło słodką wonią. Czerwiec i lipiec święciły weselne gody. Kończyła się wiosna, poczynało lato. Świat był przesycony zielenią. Wczesne kwiaty stroiły słoneczne zbocza w barwne kobierce czerwieni, bieli i purpury, a wszystko, co żyło, dźwięczało pieśnią: tłuste świstaki na skałach, małe pompatyczne koszatki u wejścia do swych norek, opasłe trzmielce buszujące pośród kwiatów, sępy w dolinach i orły ponad szczytami gór. Nawet Tyr śpiewał na swój sposób przed chwilą, brodząc w miękkim błocku. Nie był to, bowiem ani jęk bólu, ani ryk, ani warczenie, tylko właśnie owo mruczenie, którym niedźwiedzie objawiają radość. To była jego pieśń. I oto tajemnicza woń pozbawiła go nagle spokoju.

Nieruchomy wietrzył. Nie odczuwał lęku, był jednak zaciekawiony i niespokojny. Nozdrza jego reagowały równie silnie na tę nieznaną woń, jak podniebienie dziecka reaguje na pierwszą w życiu kroplę wódki. Wreszcie niski, groźny warkot wezbrał jak daleki grom w głębi jego piersi. Samowładny pan obszernych włości pojął naraz, że nie wolno mu pozwalać na istnienie woni, której pochodzenia nie zna i która nie należy do jego królestwa.

Powolnym ruchem Tyr stanął dęba sięgając łbem o dziewięć przeszło stóp od ziemi. Potem usiadł na zadzie jak tresowany pies, opuszczając na brzuch uwalane błotem łapska.

Od dziesięciu lat zamieszkiwał te góry, ale nigdy jeszcze nie wyczuł podobnej woni. Nie krył się. Nieulekły, stał jak wyrzeźbiony. Rzucił jej wyzwania i czekał, a ona rosła i zbliżała się. Był potwornie wielki i piękny w nowym, brunatnym futrze złożonym przez słońce.

Pas dorosłego mężczyzny spiałby się z trudem na jego przedramieniu, trzy najdłuższe, podobne do noży pazury przednich łap miały każdy po pięć i pół cala. Ślady stóp na miękkiej ziemi miały

rozpiętość piętnastu cali od brzegu do brzegu. Był dobrze wykarmiony, lśniący i potężny. Oczy, nie większe od hikorowych orzeszków, znajdowały się w odległości ośmiu cali jedno od drugiego. Dwa górne kły, tnące jak ostrza sztyletów, miały dwucalową długość. Straszliwe szczęki mogły bez trudu zdruzgotać kark rena. Życie Tyra było wolne od obecności człowieka i obca mu była złośliwość. Jak większość grizlich, nie zabijał dla przyjemności mordowania. Z całego stada karibu wybierał jedną sztukę i tę zjadał doszczętnie, miażdżąc kości i do ostatniej kropli wysysając szpik.

Był to dobrotliwy władca. Głosił jedno tylko prawo dajcie mi żyć! I wygląd jego wyrażał to prawo z bezwzględną stanowczością, kiedy siedząc wchłaniał nozdrzami obcą woń. Ze swej potężnej mocy podobny był górom. Jak szczyty ich władały w niebiosach, tak on władał na ziemi w obszarze swego państwa. Grizli razem z górami wynurzył się z mroku wieków. Stanowił ich część składową. Dzieje jego rasy żyły i umierały wśród nich. Byli do siebie podobni pod wielu względami.

Nikt prócz samców własnego plemienia nie ośmielił się dotąd naruszyć jego władzy ani jego praw. Z tymi zaś przeciwnikami walczył w uczciwym pojedynku, niejednokrotnie na śmierć i życie. Był gotów walczyć raz jeszcze z każdym, kto na podległym mu terenie nie chciałby uznać jego suwerenności. Dopóki się nie znajdzie nikt odeń mocniejszy, on tu jest dyktatorem, arbitrem lub despota; jest tym, czym chce być. Pochodził z rodu władców bujnych dolin i zielonych stoków, był panem wszelkich żyjących istot dokoła. Rządy nad tym krajem ustalił otwarcie, bez strategii i podstępów. Był zniechęcony i wzbudzał lęk; sam nie znał nienawiści ani trwogi. Ponadto był uczciwy. Oczekiwał zatem otwarcie przybycia istoty, której woń płynęła z głębi doliny.

Podczas gdy siedział i brunatne nozdrza wciąż jeszcze chłoneły powietrze, niejasny instynkt, dar przodków, budził się w zamglonym umyśle. Ta woń, którą przecie odczuwał po raz pierwszy, wydała mu się naraz znana. Nie mógł co prawda ustalić jej pochodzenia, ale wiedział już, że poza nią czai się groźba, że należy się strzec!

Tyr siedział dziesięć minut nieruchomy jak rzeźba potem, gdy wiatr zmienił nieco kierunek, woń osłabła, aż wreszcie zniknęła zupełnie.

Grizli lekko uniósł płaskie uszy. Potem obrócił powoli ogromny łeb obejmując wzrokiem szmaragdowy stok i małą kotlinkę. Teraz, gdy powietrze stało się znów kryształowo czyste, niepokój jego znikł tak nagle, jak nagle się pojawił. Więc Tyr opadł na czworaki i zaczął dalej polować na koszatki. Był to niesłychanie śmieszny widok. Tyr ważył tysiąc funtów, koszatka jest sześciocalowej długości i waży około sześciu uncji. A jednak grizli nie wahał się, ryć godzinę, byle móc wreszcie połknąć jak pigułkę tłuste zwierzątko. Był to jego smakołyk. Połowa niemal dni wiosennych i letnich schodziła na tej żmudnej pracy w pogoni za łakomym kąskiem.

Teraz znalazł norkę, która mu się wydała godna zachodu, i zaczął rozgrzebywać ziemię łapami jak olbrzymi pies szukający szczura.

Znajdował się na zboczu wzgórza. W ciągu pół godziny dwukrotnie podnosił głowę. Ale w powietrzu nie zamąconym wiatrem nie było już czuć żadnej tajemniczej woni.

ROZDZIAŁ II

Wysoki, balsamiczny gąszcz rzedniał, przesmyk rozszerzał się. Jim Langdon wstrzymał konia, przez parę chwil spoglądał przed siebie w osłupieniu, a potem z okrzykiem radości przerzucił prawą nogę przez kulę siodła i czekał. O paręset metrów dalej, poza osłoną świerków, Otto Bruce wojował z Patelnią, krnąbrną juczną klaczą.

Langdon uśmiechał się z zadowoleniem, słysząc, jak przewodnik grozi odpornej bestii wszelkimi rodzajami tortur i kar począwszy od ćwiartowania, a kończąc na łagodniejszej śmierci przez uderzenie pałą w łeb. Barwny słownik Bruce'a, opisujący okropności, jakie wisały nad jego lśnącymi i beztroskimi końmi, był dlań źródłem wiecznej uciechy. Wiedział przy tym, że wielki zacny towarzysz nie katowałby Patelni wówczas nawet, gdyby jej przyszła chęć utarzać się w błocie wraz z jukami i siodłem, i że ograniczyłby się do okropnych słów mrozących krew w żyłach.

Sześć koni jeden po drugim wyszło z zielonej gęstwiny; Bruce siedział na ostatnim. Tkwił w siodle jak rozklekotany pajac; postawę tę zawdzięczał długoletniemu przebywaniu w górach, a poza tym był olbrzymiego wzrostu i z trudem układał niezmiernie długą postać na grzbiecie drobnej szkapy górskiej.

Na jego widok Langdon zeskoczył z konia i znów zwrócił się twarzą ku dolinie. Poprzez jasny, niedawno zapuszczony zarost przeglądała opalenizna, piętno tygodni spędzonych w górach. Rozchełstana koszula ukazywała szyję pociemniałą od słońca i wiatru. Oczy stalowe, błękitne chciwie chłonęły rozpostarty w krąg krajobraz; malowała się w nich gorąca ciekawość myśliwego i badacza dziewiczych krain. Miał lat trzydzieści pięć. Połowa życia zbiegła mu na włóczęgach po ziemiach północnych, drugą połowę poświęcił pisaniu książek, w których przedstawiał to, co widział, przeżywał lub słyszał w czasie swych wędrówek.

Towarzysz jego był odeń o pięć lat młodszy, ale przerastał go niemal o głowę. Nie cenił zresztą bynajmniej tej przewagi fizycznej, przeciwnie, ilekroć była o tym mowa, kłął brzydko, dodając w końcu: — Psiakrew, co to można wiedzieć. A nuż jeszcze wyrosnę!

Zbliżywszy się do Langdona, Bruce zeskoczył z siodła. Langdon objął gestem leżący przed nimi krajobraz.

— Czyś widział kiedyś coś równie pięknego?

— Ładny kraj — przyznał Bruce. Nocleg będzie pierwszej klasy. Muszą tu być karibu i niedźwiedzie. Potrzebujemy właśnie świeżego mięsa!

— Daj no mi zapalną, Jim.

Mieli zwyczaj zapalać obie fajki jedną zapalną; oczywiście o ile to się udało zrobić. Wypełnili teraz ten obrzęd zastanawiając się nad sytuacją.

Puszczając pierwsze kłęby wonnego dymu, Langdon wskazał ruchem głowy opuszczoną przed chwilą gęstwinę.

— Wspaniałe miejsce na postój, prawda, stary? Suche drzewo na ogień, bieżąca woda po raz pierwszy od tygodni, miękkie świerkowe gałęzie na posłania. Konie można puścić na tę łączkę, którąśmy tylko, co minęli; trawa bawola rośnie tam jak las i pełno dzikiego tymianku.

Spojrzał na zegarek.

— Dopiero trzecia. Właściwie można by iść dalej. Ale jak sądzisz? Może pozostaniemy tu parę dni i rozejrzemy się nieco.

— Wygląda tu wcale, wcale — wyrzekł Bruce. Usiadł na ziemi, plecami przylgnął do skały i oparł o wzniesione kolano długą, mosiężną lunetę, zabytek jeszcze z czasów wojny domowej. Langdon odtoczył od siodła lornetkę sprowadzoną z Paryża.

Ramię przy ramieniu, oparci o skałę, badali wzrokiem skłony gór i zbocza porośnięte trawą.

Znajdowali się na terytorium grubego zwierza, w kraju określonym przez Jima Langdona mianem „nieznanego”, po którym zapewne nie kroczyła jeszcze stopa białego człowieka.

Ziemia ta była spięta olbrzymimi łańcuchami górskimi. Dwudziestodniowy forsowny marsz dał w rezultacie sto mil przebytej drogi.

Dzisiaj po południu minęli szczyt Divide, który dzieli niebo na północne i południowe, a teraz mieli przed sobą pierwsze zielone stoki i wspaniałe garby łańcucha Firepan. Na północ — a oni wędrowali w kierunku północnym — lśniła rzeka Skeena, na zachód i na południe rozpościerał się łańcuch Babine ze swymi rzekami, na wschód, ponad Divide, wznosił się Driftwood, a jeszcze dalej widniały góry Ominica i dopływy Finley. Dziesiątego maja widzieli po raz ostatni ślady cywilizacji, dziś był trzydziesty czerwiec. Patrząc przez lornetkę Langdon dochodził do przekonania, że nareszcie osiągnęli cel swych pragnień. Od dwóch miesięcy niemal szukali pustynnego zakątka i oto znaleźli tę dolinę. Nie nawiedzał jej żaden myśliwy. Nie docierał tu żaden szlak ludzki. Leżała przed nimi przestrzeń tak wiele obiecująca.

Teraz, gdy nadeszła chwila uchylenia rąbka jej tajemnic, Langdon czuł głęboką i niezmierną radość; pojąc ją zdolni byli jedynie ludzie jemu podobni.

Otto Bruce, przyjaciel i towarzysz szóstej z kolei wyprawy Langdona, pojmował zjawiska przyrody znacznie prościej. Wszystkie doliny i wszystkie góry były dlań mniej więcej jednakowe. Urodził się wśród nich, mieszkał tu całe życie i wśród nich prawdopodobnie umrze.

Bruce energicznym pchnięciem łokcia przerwał marzenia Langdona.

— Widzę łby trzech karibu w wąwozie, coś o półtorej mili stąd — oznajmił nie odejmując oka od lunety.

— A ja widzę kozicę z małym, tu, na tym pierwszym, czarnym występie na prawo — odparł Langdon. — I, tam do diaska, toż to młody samiec przygląda się jej ze szczytu tej skały o tysiąc stóp wyżej.

Psiakrew, co za bródka! Bruce, stary chłopie, bez żartu, znaleźliśmy ziemski Eden!

— Coś w tym rodzaju — odmruknął Bruce uniósłszy wyżej kolanami wspartą na nich lunetę. — Dam sobie uciąć prawą łapę, jeśli to nie jest również kraina misiów!

Zamilkli znów na parę minut. Konie pasły się opodal w gęstej trawie, chrupiąc chciwie soczyste źdźbła. Potoki i drobne źródelka górskie grały melodyjną pieśń. Dolina zdawała się drzemać, pogrążona w oceanio słonecznego blasku; Langdon uważał, że właśnie określenie drzemka najlepiej oddaje nastrój doliny. Była jak wielki, zadowolony, szczęśliwy kot, a dźwięki, które słyszał, łączyły się w przyjemny pomruk, który stanowił senne, kocie mruczenie.

Langdon obserwował wciąż jeszcze kozła pilnującego swej łani, gdy Bruce znowu przemówił:

— Widzę grizli. I to grizli wielkiego jak dom!

Langdon drgnął i wyprostował się.

— Gdzie? — spytał. Pochylił się wnet nieco, mierząc wzrokiem kierunek lunety Bruce'a. Zagrały w nim nagle wszystkie nerwy.

— Widzisz to zбочe poza drugim garbem, tuż nad szczeliną skalną — mówił Otto, z jednym okiem zamkniętym, a drugim ciągle przylepionym do lunety. — Grizli jest mniej więcej w połowie wysokości. Poluje na kozatki.

Langdon uniósł lornetkę, spojrział i radosny okrzyk wyrwał mu się z ust.

— Znalazłeś? — zapytał Otto.

— Jeszcze by też. To król wszystkich niedźwiedzi zamieszkujących Góry Skaliste!

— Albo król, albo brat królewski — zaśmiał się Bruce nie drgnawszy. — Większy bodaj od tego, któregoś zabił. Tamten miał osiem stóp. Wiesz, co ci powiem, Jimmy? — Tu dla efektu urwał, by wsadzić do ust wyjętą z kieszeni czarną prymkę. Po czym zaczął ją żuć nie odejmując od oka lunety.

— Wiesz, co ci powiem? — dokończył. — Wiatr wieje w naszą stronę, a miś bardzo zajęty i dba o nas tyle co o zeszłoroczny śnieg!

Wyprostował się i wstał. Langdon skoczył na równe nogi. W podobnych wypadkach rodziło się zawsze pomiędzy nimi milczące porozumienie; mowa stawała się zbędna. Sprowadzili wszystkie osiem koni na skraj lasu i uwiązali je do pni. Ze skórzanych olster wyjrzały karabiny, nabili je wkładając do każdego po sześć naboju.

Potem przez chwilę gołym okiem badali zbocze wzgórza i przylegający doń teren.

— Można by się prześliznąć tą szczeliną — poddał Langdon.

Bruce skinął głową na znak zgody.

— To będzie strzał o trzysta jardów z tamtego miejsca. Tak będzie najlepiej — rzekł. — Gdybyśmy go zaś próbowali obejść z dołu, zwietryłby nas. Gdyby było o parę godzin wcześniej...

— Wdrapalibyśmy się na skałę i zaszlibyśmy go od góry! — wykrzyknął Langdon ze śmiechem. — Bruce, stajesz się najbardziej bezrozumny idiotą na ziemi, kiedy przychodzi do łażenia po górach. Drapałbyś się na szczyt Hardesty albo Geikie, żeby strzelać do kozicy z góry, nawet choćbyś mógł ją trafić z dołu bez żadnego wysiłku. Dobrze, że to nie rano.

--- Możemy zastrzelić tego niedźwiedzia z wąwozu!

— Możliwe!

Ruszyli, nie kryjąc się wcale, poprzez zielone łąki usiane barwnym kwieciem. Grizli mógł ich dojrzeć dopiero w odległości pół mili. Wiatr zmienił kierunek i dał im prawie w twarz.

Chód ich stawał się coraz bardziej elastyczny, coraz szybszy. Zbliżyli się do zboczy wzgórz tak dalece, że przez kwadrans ogromny wiszar skalny zasłaniał im niedźwiedzia. Po dziesięciu minutach dotarli do wąwozu. Tuż przed nimi pięła się wzwyż wąska szczelina, prostopadła niemal, wyłobiona w twardym głazie przez płynącą tu od stuleci co wiosna strugę roztopionych śniegów. Stąd przeprowadzili baczny obserwację.

Wielki grizli znajdował się, o jakie sześćset jardów ponad nimi, a najbliższy mu punkt wąwozu leżał o blisko trzysta metrów od niego.

Bruce szepnął jak najciszej:

— Jimmy, leż w górę! Jeśli tego misia nie położysz na miejscu, tylko go ranisz, to albo rzuci się na ciebie, albo umknie tamtą przełęczą, albo spuści się do doliny — tędy. Jeśli zechce umykać przełęczą, to umknie; nie możemy mu w tym przeszkodzić! Jeśli skoczy na ciebie, jazda szczeliną w dół! Zawsze prędzej się tara dostaniesz niż ten grubas. Ale coś mi się zdaje, że on pójdzie tędy, jeżeli ty mu nie dasz rady. Będę, więc tu czekał. No, Jimmy, życzę powodzenia!

Cofnął się nieco i przylgnął do skalnego złomu. Stamtąd mógł obserwować niedźwiedzia. A Langdon zaczął piąć się w górę kamienistym zlebem.

ROZDZIAŁ III

Ze wszystkich istot żyjących w tej sennej dolinie Tyr był najpracowitszy. Miał wyraźnie określoną indywidualność. Podobnie jak niektórzy ludzie wcześniej kładł się spać. Rokrocznie w październiku uczuwał napływ senności, a w listopadzie zapadał w głęboki sen zimowy. Spał do kwietnia i opuszczał legowisko zazwyczaj o tydzień lub dwa później niż reszta współbraci. Kwiecień i maj poświęcał jeszcze częstym drzemkom na skałach wygrzanych słońcem, ale od początku czerwca do połowy września spał zaledwie osiem godzin na dobę.

W chwili, gdy Jim Langdon zaczął ostrożnie piąć się w górę szczeliną, Tyr był ogromnie zajęty. Schwycił właśnie tłustą koszatkę, starego patriarchę, i przełknął ją jak pigułkę, potem wchłonął tłustą, białą poczwarkę, która nieopatrznie znalazła się na jego drodze; kończył zaś podwieczorek łowiąc językiem mrówki, pieprzne w smaku, które zbierał podważając łapą głazy.

Tyr poszukiwał tych przysmaków i podnosił kamienie prawą łapą. Dziewięćdziesiąt dziewięć niedźwiedzi na sto jest mańkutami; sądzą nawet, że sto dziewięćdziesiąt dziewięć na dwieście. Tyr stanowił wyjątek. Dawało mu to ogromną przewagę w czasie wypraw myśliwskich, przy łowieniu ryb i nade wszystko w walce; prawa, bowiem przednia łapa grizlich jest znacznie dłuższa niż lewa. Różnica jest tak wyraźna, że gdyby niedźwiedź został raptem pozbawiony swego szóstego zmysłu — orientacji, kręciłby się wciąż w kółko.

W swych poszukiwaniach Tyr kierował się ku wąwozowi. Olbrzymi jego łeb wisiał prawie tuż nad ziemią. Na krótki dystans wzrok niedźwiedzia był niezwykle ostry. Zresztą, miał tak silnie rozwinięty węch, że nawet z zamkniętymi oczyma mógł łowić wielkie skalne mrówki.

Wybierał najchętniej płaskie głazy. Jego olbrzymia prawica z długimi pazurami była zręczna jak dłoń ludzka. Podwazywał głaz, pociągał nosem, a potem szeroki gorący ozór jednym młasińciem zagarniał zdobycz. Tyr brał to zajęcie bardzo poważnie, niby słoń poszukujący orzeszków ziemnych w stogu siana. Nie widział w nim nic śmiesznego. W istocie Natura nie zamierzała czynić z tej funkcji nic humorystycznego. Czas Tyra był mniej lub bardziej bezcenny. W ciągu lata niedźwiedź wchłaniał wiele setek tysięcy cierpkich mrówek, słodkich poczwarek i różnorodnych soczystych owadów nie mówiąc już o kosztkach i jeszcze mniejszych skalnych królikach. Te drobne stworzenia wzbogacały jego tłuszczowy pancerz, a ten w czasie długiego snu zimowego chronił go od śmierci głodowej. Dlatego natura uczyniła z jego małych, zielonkawo brunatnych oczu dwa mikroskopy niezawodne w obrębie kilku stóp, a prawie bez wartości na odległość tysiąca jardów.

Nagle, gdy miał odwrócić nowy kamień, wstrzymał się i zastygł. Przez całą minutę stał prawie bez ruchu. Potem powoli opuścił głowę i przywarł nosem do ziemi. Tchnęła nań niejasna, ale dziwnie miła woń. Była tak zwiewna, iż bał się, że przy lada szybszym ruchu straci jej ślad. Nie ruszał się, więc aż do chwili, gdy z całą pewnością mógł już oznaczyć pochodzenie jej i kierunek.

Woń stała się znacznie silniejsza. Jeszcze parę jardów i Tyr ustalił już jak najdokładniej jej źródło. Płynęła spod dużej, skalnej bryły mającej pewno nie mniej niż dwieście funtów wagi.

Tyr podważył ją i usunął prawą łapą, jakby to był mały kamyczek. Z wgłębienia wypadł mały skoczek górski podobny do wiewiórki i przenikliwie wrzeszcząc umknął, w chwili gdy lewa łapa Tyra opadła z siłą, która zdruzgotałaby kark karibu. Tyrowi nie szło zresztą wcale o to zwierzątko, tylko o jego spiżarnię. Tuż w jamce leżała zdobycz: orzechy ziemne na miękko wymoszczonym posłaniu z mchu.

Nie były to prawdziwe orzechy. Coś niby drobne ziemniaczki, wielkości owocu wiśni, słodkie i przesycone krochmalem, tuczące. Grizli delektował się nimi pomrukując cicho, z zadowoleniem. Po czym ruszył na dalsze poszukiwania.

Nie słyszał, jak Langdon zbliżał się coraz bardziej do ujścia szczeliny. Nie wyczuł go węchem, bo wiatr był z przeciwnej strony. O dziwnej woni ludzkiej, która go przed godziną doszła i niepokoiła w kotlinie, już zapomniał.

Czuł się zupełnie szczęśliwy. Był w dobrym humorze, tłusty i lśniący. Zirytowany, rozzłoszczony i kłótniwy niedźwiedź jest zawsze chudy. Prawdziwy myśliwy poznaje go na pierwszy rzut oka. Jest jak słoń samotnik.

Tyr dalej szukał pożywienia i coraz bardziej zbliżał się do wąwozu. Podszedł doń już na sto pięćdziesiąt jardów, kiedy nagle obudził jego czujność jakiś szmer. Langdon, pnąc się w górę, pchnął stopą luźny kamień, a ten runął w dół pociągając za sobą z hałaśliwym łoskotem kaskadę żwiru.

U stóp zbocza, o sześćset metrów poniżej, Bruce zaklął cicho. Widział, jak Tyr zatrzymał się, i

miał zamiar strzelić, gdyby niedźwiedź zechciał umykać przełęczą.

Tyr siedział nieruchomo pół minuty, po czym, nie śpiesząc się zbytnio, statecznie, lekkim kłusem ruszył ku ujściu szczeliny.

Langdon znajdował się teraz zaledwie o parę stóp od upragnionego celu. Zdyszany, wściekły, naprężając mięśnie aż do bólu, darł się w górę. Usłyszał naraz, że Bruce krzyczy, ale nie mógł pojąć treści słów. Ręce i nogi wpijał w stromizną skalną, ogarnięty tylko jedną myślą: byle prędzej! Dosięgając niemal szczytu, przystanął na chwilę i podniósł oczy w górę. Serce skoczyło mu do gardła i zmartwiało. Na kilka sekund znieruchomiał.

Tuż nad nim wisiał ogromny łeb wynurzający się z brunatnych barków olbrzyma. Tyr patrzył w dół z rozwartą paszczą, w której lśniły straszliwe zęby. Ślepie płonęły mu zielonorudym ogniem. W tej chwili po raz pierwszy ujrzał człowieka. Woń człowieka, silna woń, napełniała ogromne płuca niedźwiedzia. Cofnął się wnet tak gwałtownie, jakby zwietrzył dżumę.

Langdon miał karabin przewieszony przez plecy, co mu chwilowo odjęło możliwość strzału. Czynił nadludzkie wysiłki, by co rychlej stanąć na pewnym gruncie. Skalny próg i kamienie osuwały mu się spod nóg. Rwał w górę jak opętany. Upłynęła cała minuta, nim znalazł się u szczytu.

O sto jardów Tyr, podobny do wielkiej kuli osadzonej na krótkich łapach, gnał cwałem ku przełęczu.

Z oddali huknął strzał, Bruce rozpoczął ogień, Langdon przykląkł na jedno kolano i zaczął strzelać z odległości stu pięćdziesięciu jardów.

Czasami bywa, że godzina — a nawet minuta — stanowi o losie człowieka. Dziesięć sekund, które nastąpiły zaraz po tym pierwszym strzale z dna wąwozu, odmieniło Tyra. Poznał woń człowieka. Widział go. A teraz poczuł go.

Było to tak, jak gdyby któraś z tych błyskawic, które często widywał, gdy pruły mroczne niebo, spadła nań i przeszła mu ciało niby rozżarzony do czerwoności nóż. Jednocześnie z tym pierwszym, piekącym bólem grzmot karabinów potoczył się po górach.

Skręcał na zbocze, kiedy kula trafiła go w łopatkę przebijając swym śmiertcionośnym końcem grubą skórę. Przeszyła mu mięśnie nie naruszając zresztą kości. Tyr znajdował się wtedy o dwieście jardów od wąwozu. Od ujścia szczeliny przebył już trzysta jardów, gdy palący ogień znowu go dosięgnął, tym razem z boku.

Nie padł jednak; nawet dwadzieścia podobnych ran nie położyłoby go trupem. Ale za drugim strzałem wściekłość osadziła go na miejscu. Zwrócił się łbem w stronę wrogów i zaryczał straszliwie jak rozjuszony buhaj. O ćwierć mili wokoło słyhać było ten chrapliwy, grzmiący ryk.

Bruce z odległości siedmiuset jardów dawał szósty strzał z kolei. Langdon nabijał broń. Tyr trwał nieruchomo ćwierć minuty i ryczał wyzwanie, wystawiony na pociski wroga, którego już nie mógł dojrzeć. Wreszcie siódmy z kolei strzał Langdona przeorał mu kark.

I grizli wobec tych nowych gromów, raniących tak boleśnie a nieuchwytnych, uczuł naraz lęk. Zawrócił i ruszył cwałem ku przełęczu. Pioruny coraz dalsze szły za nim, ale żaden go nie dosięgnął. Obolały, Tyr zaczął zstępować ku drugiej dolinie.

Czuł, że jest ranny, ale nie mógł pojąć przyczyny tych ran. Przystanął raz na chwilę i wnet kałuża krwi osnuła jego przednią łapę; powąchał ją podejrzliwie pełen zdumienia.

Ruszył na wschód, a w chwilę później poryw wiatru rzucił mu znowu w nozdrza woń ludzką. I chociaż Tyr pragnął ogromnie wypoczynku, jednak ponownie pobiegł kłusem. Dzisiejszy dzień, bowiem dał mu naukę, której do końca życia miał nie zapomnieć, że woń ludzka i ból zawsze idą w parze.

Dotarł do dna doliny i wśliznął się w zwarty zielony gąszcz; wśród drzew i krzewów płynęła struga. Wody jej wiązały z sobą dwa krańce państw Tyra.

Ilekoć grizli był chory lub ranny, ilekoć zbliżała się pora jego snu zimowego, tylekoć instynktownie dążył w te strony. Przyczyna była prosta: Tyr urodził się u źródeł tej strugi, w trudno dostępnej grocie. Jego dzieciństwo upłynęło wśród tych krzewów, wśród dzikich porzeczek, jagód mydlanych i bujnych, czerwonych kobierców kinnikniku. Tu był jego dom. Kryjówka ta stanowiła jego wyłączną, zazdrośnie strzeżoną własność, nikt nie miał prawa tu wejść. Pozwalał natomiast innym niedźwiedzim: czarnym i grizlim, nawiedzać dalej położone tereny swego dziedzictwa, słoneczne zbocza, pod warunkiem jednak, że zawsze i bez zwłoki ustąpią mu miejsca, ilekoć tego od nich zażąda. Mogą tam szukać pożywienia, drzemać na nagranych słońcem polankach i żyć w spokoju, dopóki nie naruszają jego suwerenności. Tyr w stosunkach z braćmi nie nadużywał swej władzy, ale czasem musiał dochodzić swych praw królewskich. A po każdej walce wracał do tej doliny i brodził w górę strumienia lecząc rany.

Dziś szedł wolniej niż zwykle. W lewym przedramieniu czuł piekielny żar, łapa ugiwała się pod nim. Padał prawie. W zimnej jak lód wodzie zanurzał się parokrotnie aż po grzbiet. Stopniowo rany przestały krwawić, ale ból wzmógł się jeszcze bardziej.

Zmierzch już zapadł, gdy Tyr dotarł do małej sadzawki. Dolna szczeka mu obwisła. Olbrzymi łeb ciążył. Stracił dużo krwi.

Czuł straszliwe znużenie. Łopatka dolegała mu tak silnie, że gotów był szarpać ją własnymi zębami, byle wyrwać spod skóry ten żar trawiący ciało.

Błotnista sadzawka miała dwadzieścia do trzydziestu stóp średnicy, a pośrodku jej znajdowało się małe, płytkie wgłębienie. Była pełna złotawej gliny, chłodnej i miękkiej jak aksamit. Tyr zanurzył się w niej do pół ciała i legł ostrożnie na zranionym boku. Gęste błoto zalepiło ranę niby plaster. Ból

zaczął zamierać i Tyr westchnął głęboko z wielką ulgą. Nie porzucił jednak błotnej kąpieli. Słońce gasło, mrok wkraczał w dolinę, wspaniałe gwiazdy zabłysły na niebie, a grizli wciąż jeszcze leczył rany zadane ręką ludzką.

ROZDZIAŁ IV

Ćmiąc fajki po kolacji Jim i Otto siedzieli na skraju jodłowego boru; u ich nóg nisko pełgały języki dogasającego ognia. Na tych wysokościach powiew nocy bywa mroźny, toteż Bruce wstał i dorzucił na ogień naręcz suchych gałęzi. Potem znów ułożył wygodnie na mchu swoją długą postać, oparł się plecami o pień drzewa i zachichotał złośliwie.

— Przestań! — burknął Langdon wściekle. — Mówię ci, że go dwa razy trafił! Przynajmniej dwa razy, słyszysz? A i to nie było łatwo, psiakrew!

— Ale najmilej było wtedy, kiedy ci z bliska zajrzał w ślepie. Wyobrażam sobie, jak się potem ten grubas śmiał — odparł rozbawiony Bruce. — Jimmy, z tej odległości powinienś go być położyć na miejscu kamieniem.

— Karabin miałem przewieszony przez ramię — tłumaczył po raz dwudziesty Langdon.

— Świetny pomysł, kiedy się poluje na niedźwiedzia.

— Szczelina była stroma jak piec. Czepiałem się jej rękoma i nogami. Jeszcze trochę, a musiałbym sobie pomóc zębami.

Langdon usiadł, wytrząsnął popiół z fajki i nabił ją świeżym tytoniem.

— Wiesz co, to jest chyba największy grizli w Górach Skalistych.

— Pięknie by wyglądał w twoim gabinecie, Jimmy, gdyby nie ta fuzja. Co?

— Prędzej czy później, będę go miał. Zawzięłem się. Rozbijemy tutaj obóz. Spędzę w tej dolinie całe lato, jeżeli będzie trzeba. Wolę zabić tego jednego niż tuzin innych niedźwiedzi. Co za potwór. Najmniej trzy metry. Łeb jak ceber! A co za sierść! Cieszę się nawet, że go od razu nie zabił. Jest ranny, to go uczyni podejrzliwym i ostrożnym. Niełatwo go teraz dostaniemy, ale to tym ciekawsze!

— Racja! — przyznał Bruce. — Nie życzyłbym ci też spotkać go, nim mu się rany zgoją. Bądź co

bądź, miej wówczas karabin w ręku, Jimmy, nie na plecach.

— Jak uważasz, dobre tu miejsce na obóz?

— Pierwsza klasa. Moc zwierzyny, świeża trawa i woda jak kryształ!

Umilkł, a po chwili dodał:

— Musi być jednak ciężko ranny. Krwawił mocno.

Przy świetle ogniska Langdon zaczął czyścić broń.

— Nie obawiasz się, że nam umknie? Może mu przyjdzie do łba porzucić te strony?

Bruce sarknął pogardliwie.

— Umknąć! Opuścić te strony! Owszem, to by mógł zrobić czarny niedźwiedź, ale nigdy grizli. To jest władca tego kraju! Możliwe, że przez pewien czas będzie unikał tej doliny. Ale założę się, że ani myśli się stąd wyprowadzać. Im dotkliwiej zranisz grizli, tym bardziej jest rozjuszony. A jeśli nie przestaniesz dawać mu się we znaki, będzie się tak wściekał, aż padnie. Jeśli ci naprawdę o niego chodzi, będziesz go miał, nie dziś, to jutro.

— Naprawdę mi o niego chodzi — rzekł z naciskiem Langdon. — Pewien jestem, że ten potwór pobije wszelkie ustalone rekordy miary i wagi. Ach! Bruce, muszę go koniecznie mieć. Czy sądzisz, że uda ci się jutro odnaleźć jego ślad? Bruce pokiwał głową.

— Możliwe, ale odnaleźć ślad to nie wszystko! Trzeba tym śladem iść. Ranny grizli nie usiedzi w miejscu ani chwili. Ale nie wyjdzie ze swoich gór. Nie będzie też przebywał na gołych zboczach, tak jak wczoraj. Zresztą Metoosin powinien tu stanąć ze sforą psów w ciągu trzech, czterech dni. A kiedy airedale zwęszą jego trop, no, to nasz miś będzie miał bal co się zowie.

Langdon spojrzał na ognisko poprzez lśniącą lufę karabinu i powiedział z powątpiewaniem:

— Prawdę mówiąc, od tygodnia myślę sobie, czy Metoosin nas prędko znajdzie. Leżliśmy po takich wertepach, taką płataniną przejść.

— Nawet gdybyśmy szli po nagiej skale, ten stary Indianin trafi na nasz ślad — odparł Bruce spokojnie. — Stanie tu od dziś za trzy dni. Chyba, że psy będą o tyle głupie, że zechcą polować na jeżozwierza. Więc kiedy nadejdą...

Wstał i przeciągnął się.

— Kiedy nadejdą, toż dopiero będzie taniec. Pewien jestem, że góry te są tak pełne niedźwiedzi, że po tygodniu z twojej sfory zostanie tylko kasza. Chcesz iść o zakład?

Langdon składał właśnie z trzaskiem swój karabin.

— Dbam tylko o jednego niedźwiedzia — rzekł puszczać mimo uszu propozycję Bruce'a — i tak mi się coś widzi, że dostaniemy go jutro rano. Jesteś specjalistą od łowów niedźwiedzich, ale mam wrażenie, że ten grizli jest tak poważnie ranny, że niedaleko się zawlecze.

W pobliżu ognia usłali dwa miękkie łoża z gałęzi jodłowych i rozpostarli na nich koce. Po pracowicie spędzonym dniu usnęli natychmiast i spali jak zabici.

Bruce zbudził się skoro świt. Bezszelestnie odrzucił koce i siadł na posłaniu. Potem wdział buty i przez ciężką od rosy trawę ruszył na poszukiwanie koni.

Gdy wrócił wiodąc oba wierzchowce i Patelnię, Langdon podsycił chrustem ognisko.

Langdon często myślał o tym, że podobne ranki ocaliły mu życie. Gdy przed ośmiu laty chudy i kaszlący ruszał po raz pierwszy na północ, doktor rzekł mu:

— Może pan jechać, jeżeli pan się uparł, młody człowieku, umrze pan jeszcze tego lata.

A dziś miał mięśnie jak stal i zdrowie bajeczne.

Szczyty gór stanęły w różowych blaskach, powietrze przesyciła woń rosy, kwiatów i ziół. Płuca Langdona wciągały w głębokich oddechach tlen pełen uzdrawiającego zapachu jodeł.

Bardziej niż jego towarzysz okazywał radość z tego życia wśród przyrody, gotów był krzyknąć, śpiewać, gwizdać. Tego ranka opanowywał się. Miał w naturze żyłkę myśliwską.

Kiedy Bruce siodłał konie, Langdon przyrządził bannok, zwany przezeń „chlebem dzikich”. Stał się z musu dobrym piekarzem; wyrobił sobie nawet własną metodę pracy oszczędzając produktów i czasu.

Otworzył więc wór mąki, zwiniętymi pięściami zrobił w mące wgłębienie, napełnił je częściowo wodą i jelenim tłuszczem, dodał proszku do pieczenia i soli — i zaczął wyrabiać ciasto. W pięć minut potem chleb znajdował się już w formie, a w pół godziny później pokryty był dobrze opieczoną, lśniącą skórką. Jednocześnie na patelni dochodziły kotlety baranie i rumieniły się kartofle.

Słońce wypłynęło właśnie spoza gór, gdy opuszczali obóz. Minąwszy dolinę zsiadli z koni i prowadząc zwierzęta za uzdy, pieli się na zbocze.

Łatwo odnaleźli trop Tyra. Tam gdzie niedźwiedź się odwrócił, by rzucić wyzwanie wrogom, widniała duża czerwona plama. Dalej szli szkarłatnym śladem krwawych kropli.

Minęli przełęcz i zstępowali ku drugiej dolinie. Trzykrotnie jeszcze znaleźli miejsca, gdzie

wsiąkły w ziemię lub wpłynęły pod skałę kałuże krwi znaczące postoje Tyra.

Przedarli się przez gąszcz. Strumień błysnął ku nim modrą wstęgą, z na ciemnym piasku pobraża widniał jasno świeży trop.

Bruce stanął. Langdon wydał okrzyk zdumienia, wyciągnął centymetr i przykląkł obok śladów.

— Piętnaście i ćwierć cala — rzekł Langdon.

— Zmierz drugi — powiedział Bruce.

— Piętnaście i pół!

Bruce spojrzał w górę wąwozu.

— Największy trop, jaki dotąd w życiu widziałem, miał czternaście i pół cala — oświadczył z odcieniem szacunku w głosie. — Niedźwiedzia tego zabito w roku zeszłym w Athabaska. Uchodził za największego z istniejących na terenie Kolumbii Brytyjskiej i Kanady. Jimmy! Ten grizli stanowczo pobił rekord!

Odeszli i wymierzili parę innych śladów rozrzuconych na brzegu pierwszej sadzawki, w której Tyr kapał swe rany. Miara była wciąż jednakowa, natomiast plamy krwi stawały się coraz radsze.

Dochodziła dziesiąta, gdy stanęli ponad błotnistą sadzawką i ujrzeli wyciśnięty w glinie ślad olbrzymiego cielska.

— Dobrze dostał — stwierdził półgłosem Bruce. — Całą noc tu przeleżał.

Jednaką myślą wiedzeni, podnieśli naraz wzrok. O pół mili przed nimi skały pięły się ku niebu niemal prostopadle, a dolina dławiona pomiędzy nimi tworzyła mroczny wąwóz.

— Dobrze dostał, to fakt — powtórzył Bruce z przekonaniem, badając teren oczyma. — Lepiej przywiązać tu konie i iść dalej pieszo. Może się kryje gdzie blisko.

Uwiązali więc konie do pnia starej jodły i zdjęli juki z grzbietu Patelni. Po czym z bronią gotową do strzału, czujni i rozważni weszli ostrożnie w ciszę i mrok wąwozu.

ROZDZIAŁ V

Tyr wkroczył do wąwozu o świcie. Wygramoliwszy się z błotnej wanny, uczuł w stawach ogromną sztywność, ale ból piekący poprzedniego wieczora znacznie mniej mu już dziś dokuczał. Rana w łopatce dolegała jeszcze, coraz jednak słabiej. Natomiast doznawał uczucia ogólnej niemocy. Był poważnie chory. Człowiek na jego miejscu bez wątpienia leżałby w łóżku z termometrem pod pachą i doktorem u wezgłowia. Grizli szedł bardzo wolno, ociągając się, dnem wąwozu. Ten nigdy nie nasycony żarłok nie myślał już o pożywieniu. Głód nie dokuczał mu wcale nie chciał jeść. Gorącym językiem chwycił raz po raz trochę wody z chłodnej strugi, lecz jeszcze częściej przystawał i na pół zwrócony wstecz, nozdrzami wciągał wiatr.

Wiedział, że woń człowieka, dziwny grzmot i jeszcze dziwniejszy piorun znajdują się poza nim. Przez całą noc miał się na baczności, a i teraz jeszcze był ostrożny.

Tyr nie umiał wybierać lekarstw w zależności od poszczególnych chorób. Nie był botanikiem w dosłownym znaczeniu tego wyrazu, ale dzięki odziedziczonemu po przodkach instynktowi sam sobie był doktorem. Podobnie jak kot szuka mięty, tak Tyr w chorobie poszukiwał różnych ziół. Nie wszystko co gorzkie jest chininą, ale niewątpliwie roślinki zawierające gorycz stanowiły lekarstwo niedźwiedzia. Szedł w górę wąwozem z nosem tuż przy ziemi i obwąchiwał po drodze wszystko, cokolwiek napotkał. Dotarł wreszcie do małej, zielonej łączki; porastał ją obficie kinnikini, unosząc nieco nad ziemią cienkie gałązki pokryte nalotem drobnych purpurowych jagód wielkości grochu. Nie były jeszcze dojrzałe, co potęgowało ich gorycz, miały smak żółci i zawierały ściągający gorączkę lek zwany uvaursi. Tyr zjadł ich sporo. Potem znalazł krzaki podobne do krzaków porzeczek; różowe ich owoce większe były od porzeczek i miały smak mydlany. Indianie leczą nimi gorączkę. Tyr wchłonął ich nieco, nim ruszył w dalszą drogę. One też były gorzkie.

Idąc dalej obwąchiwał drzewa i znalazł wreszcie to, czego szukał. Była to karłowata sosna, z której rozdartego pnia sączyła się wonna żywica. Niedźwiedź rzadko mija taką sosnę. Żywica to najskuteczniejszy ze wszystkich leków. Tyr zlizął ją. W ten sposób wchłaniał nie tylko terpentynę, ale również pośrednio cały zespół lekarstw, które się wyrabia z żywicy. Nim grizli dotarł do ujścia wąwozu, w żołądku jego mieściła się już cała apteka, zjadł bowiem jeszcze całą moc sosnowych igieł. Chory pies je trawę; chory niedźwiedź je igły sosnowe lub jodłowe. Napycha sobie nimi także żołądek i kiszki przed udaniem się na zimowy spoczynek.

Słońce wschodziło właśnie, gdy Tyr dotarł do krańca wąwozu. Tu przystanął na chwilę u wejścia do niskiej groty, schodzącej dość daleko w głąb góry. Nie podobna określić, jak daleko w przeszłość sięgał pamięcią, ale pośród całego świata, jaki znał, to był jego dom. Otwór miał cztery stopy wysokości i osiem stóp szerokości. Dno wyściełał miękki, biały piasek.

Przed laty wypływał z tej grotki mały strumień. Teraz gdy wyschło zasilające go źródło, głąb pieczary stanowiła wygodną komnatę i dawała wyborny schron niedźwiedziom poszukującym zimowego leża na czas pięćdziesięciostopniowych mrozów. Dziesięć lat temu osiadła tu matka Tyra i spała całą zimę, a gdy wyrzała wreszcie wiosną na świat, trzy młode niedźwiadki pętały się wokół niej. Tyr należał do tej trójki. Był wówczas niemal całkiem ślepy, niedźwiadek bowiem osiąga normalny wzrok dopiero w piątym tygodniu życia. Był też pozbawiony sierści, gdyż grizli rodzi się tak jak człowiek zupełnie nagi i porasta futrem w tym samym czasie, w którym zaczyna dobrze widzieć. Od tej pory Tyr ośmiokrotnie już zimował w swojej grocie.

Z jakąż rozkoszą wszedłby do niej teraz. Jak wygodnie ległby w jej głębi i czekał powrotu dawnego zdrowia i sił. W ciągu paru minut wahał się, tęsknie wchłaniał nozdrzami powietrze jaskini, a potem łowił wiatr dmący z dolin.

Instykt pchnął go w dalszą drogę. Łagodne zbocze wywiodło go z dna wąwozu na szczyt wzgórza. Słońce już stało wysoko. Tu grizli przystanął i rzucił wzrokiem na drugą połowę swego państwa.

Dolina była jeszcze piękniejsza niż ta, którą już zwiedzili Langdon i Bruce. Od brzegu do brzegu miała przynajmniej dwie mile rozpiętości i płynęła w dal jak olbrzymia wstęga barwiona czernią, zielenią i złotem.

Ten, kto tak jak Tyr spojrzełby na nią z góry, doznałby wrażenia, że ma przed sobą olbrzymi park. Zbocza niemal aż po szczyty osnuła zieleń, a od połowy ścian rosły kępy jodeł sadzone, zda się, ludzką ręką. Niektóre nie większe były niż ozdobne grupy drzew w parku, inne porastały dziesiątki akrów. Dołem, w prawo i w lewo, płynęły frędzlą nieprzerwane wstęgi boru. Środkiem ciemnej gęstwiny słała się dolina miękka i falista, której szmaragdowy dywan plamiły pęki purpurowych wierzb i górskiego piołunu, seledynowe krzaki głógów i tarniny, grupy drzew. Na dnie płynął strumień.

Tyr zstąpił o paręset jardów w dół i wzdłuż zielonego zbocza ruszył na północ. Kroczył od kępy do kępy drzew przypominających park, nieco ponad linią borów. Na tym poziomie, jednakowo oddalonym od łąki doliny i od nagich skalnych szczytów, napotykał często drobną zwierzynę. Grube świstaki wygrzewały się już w słonecznym cieple na głazach. Ich delikatny długi gwizd powtarzał się raz po raz, przerywając monotony szmer wody i napełniając powietrze muzycznym rytmem. Chwilami na widok olbrzymiego grizli któreś zwierzątko wybuchało przeraźliwym ostrzegawczym świstem i rozplaszczało się na kamieniu, a potem w ciągu paru sekund żaden odgłos nie przerywał już łagodnego pomruku doliny.

Ale dzisiaj Tyr nie myślał nawet o łowach. Dwukrotnie napotkał jeżozwierze, ulubione swoje kaski, i minął je nie zwolniwszy wcale kroku. Z gęstwiny spłynęła ku niemu mocna woń śpiącego karibu; nie zwrócił na nią żadnej uwagi. Z wąskiego, mrocznego jaru zapachniał mu borsuk; przeszedł tamtędy obojętnie. Dwie godziny kroczył tak uparcie na północ, przecinając zbocza, aż wreszcie poprzez gąszcz leśny zstąpił na brzeg strumienia. Glina, okrywająca mu ranę, zaczynała już twardnieć, zanurzył się więc w strumieniu aż po grzbiet i pozostał tak przez jakiś czas. Woda uniosła niemal cały okład. Wówczas ruszył znów przed siebie, z prądem, przystając często i chlepcząc wodę.

W sześć godzin po opuszczeniu błotnej kąpieli nastąpiło *sapoos-oowin*. Owoce kinnikini, mydlane jagody, żywica i jodłowe igły, podlane obficie wodą, wywarły pożądany skutek. Tyr poczuł wnet znaczną ulgę. Wróciła mu też część animuszu; zrobił więc zwrot wstecz i posiał groźny ryk pod adresem swych wrogów. Łopatka dolegała mu jeszcze, ale poczucie choroby minęło. Przez dłuższy czas nie ruszał się z miejsca i pomrukiwał.

Pomruk ten, dobyty z głębi piersi, miał teraz w sobie nową nutą. Do wczorajszego wieczora i dzisiejszego dnia Tyr nie doznał nigdy uczucia nienawiści. Gdy walczył z przedstawicielem swojej rasy, ogarniał go co prawda szal bojowy, ale szal ten mijał z chwilą ukończenia walki. Wściekłość gasła. Z pewnym zadowoleniem nawet obwąchiwał i lizał otrzymane w tych bojach skaleczenia.

Dzisiejsze uczucie różniło się krańcowo od poprzednich przeżyć. Tyr nienawidził niepojętej przyczyny wczorajszych ran dziką, pamiętliwą nienawiścią. Nienawidził woni ludzkiej. Nienawidził dziwnej istoty o białej twarzy, którą widział uczeponą w szczelinie skalnej. Nienawiść ta była mu wrodzona; doświadczenie zbudziło ją gwałtownie z długiego snu.

Jakkolwiek nigdy przedtem nie spotkał człowieka i nie znał nawet jego woni, wiedział, że jest to jego wróg śmiertelny i najgroźniejszy ze wszystkich. Bez trwogi gotów był wyzwąć na pojedynek najstraszliwszego ze swych współbraci, odważnie stawiał czoło zażartej zgrai wilków. Nie drżał wobec pożaru ani powodzi. Ale przed człowiekiem musiał uciekać. Musiał się kryć. Musiał się teraz mieć na baczności na szczytach gór i w dolinach. Musiał wciąż słać na zwiady węch, słuch i wzrok.

Przyroda jedynie mogłaby nam wyjaśnić, w jaki sposób Tyr to czuł; pod wpływem czego zrozumiał, że nowy wróg, co nawiedził jego państwo, groźniejszy jest pomimo tak miernego wzrostu niż którykolwiek z jego dawnych wrogów.

Przyroda dała mu tę mądrość. Uczyła przodków jego w ciągu setek i tysięcy lat, że jedynie człowiek jest im wrogiem: człowiek zbrojny wpierw w maczugę; potem w dzidę zahartowaną w ogniu, w łuk i ostre strzały; zastawiacz sideł, a na ostatek z karabinem w dłoni.

Dziś po raz pierwszy zbudził się w grizlim ten uspiiony instynkt i Tyr pojął prawdę. Nienawidził ludzi i nienawidził wszystkiego, co niosło woń ludzką. A wraz z nienawiścią zrodził się w nim po raz pierwszy lęk.

Gdyby nie to, że człowiek tylokrotnie zadawał śmierć przodkom Tyra, grizli nigdy nie zyskałby przydomka *ursus horribilis*

Tyr szedł powoli i ociężale dalej wzdłuż strumienia, węsząc starannie i nisko niosąc ogromny łeb. Jego potężny zad kołysał się ruchem właściwym niedźwiedziom, a zwłaszcza grizlim. Długie pazury szczękały ostro na głazach. Żwir chrzęścił pod nim; na miękkim piasku pozostawiał olbrzymi ślad.

Ta część doliny miała dlań szczególny urok. Zaczął się ociągać i węszyć. Nie był monogamistą, ale

właśnie wśród tych wspaniałych łąk, w tej dolinie pomiędzy dwoma górskimi łańcuchami, od wielu już lat, w lipcu, miesiącu godów niedźwiedzi odnajdywał samicę Iskwao, zstępującą z zachodnich zboczy górskich. Wiodło ją pragnienie macierzyństwa. Była pięknie rozrosła, potężna i okryta brunatnożółtym futrem. Dzieci jej i Tyra były to chyba najładniejsze niedźwiadki na całym obszarze Gór Skalistych.

W końcu sierpnia zresztą matka wracała w swoje strony i małe jej przychodziły na świat na dalekich, zachodnich stokach.

Jeśli kiedykolwiek później Tyr walczył z własnymi dziećmi lub chcąc wykurzyć natrętów ze swego państwa dawał im potężne lanie, dobrotliwa natura uczyniła mu tą łaskę, że nie wiedział nic o pokrewieństwie, które go łączyło z tymi biedakami.

Jak większość gderliwych starych kawalerów, nie lubił dzieci; z przykrością znosił obecność jakichkolwiek bębnow. Tolerował małego niedźwiadka w podobny sposób, jak stary zgryźliwy wróg kobiet tolerowałby różowe niemowlę. Jednakże nie miał w sobie okrucieństwa; nigdy żadnego niedźwiadka nie zabił. Dawał tylko mocne klapsy, gdy jaki malec przysunął się doń zbyt blisko; uderzał wówczas na płask, tak miarkując siłę ciosu, by mały natręt fiknął wysoko parę tęgich kozłów niby puszysta kula.

W ten sposób objawiał jedynie swoją irytację, kiedy niedźwiedzica z małymi wkraczała do jego państwa. Poza tym był wielce rycerski. Nie napadał nigdy na niedźwiedzicę i jej małe, nigdy się na nią nie rzucał, choćby była najwstrętniejszą w świecie wiedźmą. Nawet jeśli kiedy zastał samkę wraz z potomstwem nad upolowaną przez siebie zwierzyną, powściągał słuszny gniew i zadowalał się rozdaniem niedźwiadkom paru szturchańców.

Ująłem powyższy temat tak obszernie jedynie dlatego, by czytelnicy mogli sobie przedstawić stan wzburzenia Tyra, gdy naraz wionął nań ciepły, bliski powiew spoza rumowiska wielkich głazów; grizli nagle stanął, odwrócił głowę i zawarczał grubym głosem o sześć stóp przed nim na białym piasku leżał mały niedźwiadek; rozpląszczył się cały, drżał, zwijał się i skręcał jak głupi psiak, co nie wie wcale, czy ma do czynienia z przyjacielem czy z wrogiem.

Mógł mieć najwyżej trzy miesiące, był więc stanowczo zbyt młody na odbywanie samotnych spacerów. Miał sprytną brunatną mordkę, a na piersi białe znamię wskazujące, że należy do rodziny czarnych niedźwiedzi, a nie grizlich. Zachowaniem starał się wyrazić, że jest sam, zabłąkany lub ukradziony, że jest głodny, że w łapkę wbił mu się kolec jeżozwierza.

Tyr zaklął cierpko i wzrokiem zaczął błędzić po skalach, szukając nieobecnej rodzicielki tego bębna. Nie zobaczył jej, węchem nie wyczuł jej także. Wówczas ponownie spojrzał na niedźwiadka.

Muskwa — Indianin zapewne tak by go nazwał — pełznąć na brzuchu, zbliżył się już o parę stóp, a pod wzrokiem Tyra zaczął się przymilnie kręcić i znów posunął się o pół stopy.

Z dna piersi Tyra wypląnął ostrzegawczy grzmot. — Nie zbliżaj się — mówił wyraźnie — bo

dostaniesz klapsa! — Muskwa zrozumiał. Łapkami, nosem i brzuszkiem przylgnął do piasku jak martwy. Tyr ponownie rozejrzał się wkoło. Gdy oczy jego znów spoczęły na niedźwiadku, Muskwa był o trzy stopy zaledwie, dygocąc i popiskując cicho.

Tyr uniósł nieco prawą łapę. — Zbliź się tylko, a zobaczysz — mruknął.

Muskwa drżał jak w febrze, czerwonym języczkiem oblizywał wargi na pół ze strachu, a na pół błagalnie; nie zważając na groźną postawę Tyra sunął ku niemu cal za całem.

Warczenie Tyra zamarło w głębi piersi, ciężka łapa opadła na piasek. Raz jeszcze rozejrzał się wokół i wchłonął nozdrzami wiatr. Potem sapnął. Pierwszy lepszy stary kawaler zrozumiałby to sapnięcie.

— Gdzież, u licha, jest matka tego bębna?

W następnej chwili zaszło coś, co zadecydowało o losie Muskwy.

Niedźwiadek zbliżył się tuż do zranionej łapy Tyra. Uniósłszy się na tylnych łapkach powąchał świeżą ranę, po czym delikatnie musnął ją języczkiem. Język jego był miękki jak atłas. Rozkoszny, kojący dreszcz przebiegł grzbiet Tyra. Stał teraz długo bez ruchu i długi czas Muskwa lizał ranę.

Potem grizli zniżył ciężki łeb, obwąchał małą miękką kulkę przyjaźni, która doń przyszła. Muskwa wydał sierocy pisk. Tyr zawarczał, lecz tym razem łagodniej. Nie była to już groźba. Dwukrotnie przesunął ciepłym językiem po mordce Muskwy.

— No, chodź ze mną, mały — rzekł.

I gdy Tyr ruszył znów na północ, osierocony brunatny niedźwiadek podreptał za nim.

ROZDZIAŁ VI

Strumień, wzdłuż którego Tyr odbywał wędrówkę, był dopływem Babiny. Tyr zwrócił się ku jego źródłom. Im dalej, tym wyżej wznosił się teren coraz mniej dostępny. Spotkanie Tyra z Muskwa odbyło się mniej więcej o osiem mil od ujścia wąwozu. Od tego punktu począwszy, charakter krajobrazu zaczął się raptownie zmieniać. Zbocza gór przecinały ciemne jary i rozpadliny. Osypiska wielkich głazów, poszarpane skały i strome urwiska tworzyły chaotyczne labirynty.

Strumień szumiał coraz głośniej i coraz trudniej było iść jego brzegiem.

Grizli wkraczał teraz w obręb jednego ze swych fortów, w krainę pełną kryjówek. Tu mógł łatwo zatajać swą obecność; mógł polować na dzikiego zwierza; tu mógł być pewien, że nie dotrze za nim woń ludzka.

Przez całe pół godziny Tyr nie interesował się Muskwą i zdawać by się mogło, że całkowicie o nim zapomniał. Jednakże słyszał go doskonale i czuł wyraźnie jego woń.

Muskwa z wielkim trudem dotrzymywał kroku wielkiemu grizli. Jego krótkie łapki i krągły brzusek nie nadawały się wcale do tego rodzaju wędrówek. Ale że był to dzielny malec, więc w ciągu tej półgodziny rozzalił się tylko dwa razy: raz, gdy ze stromej skały stoczył się w wodę strumienia, a drugi raz, gdy zbyt mocno stąpił prawą przednią łapką, w której tkwił kolec jeżozwierza.

Wreszcie Tyr porzucił strumień, skręcił i poprzez głęboką wyrwę dotarł do małej łączki uwieszanej w połowie górskiego zbocza. Tam znalazł duży płaski głaz otoczony zewsząd kobiercem wonnej trawy i wystawiony na działanie słońca.

Może serce wielkiego grizli wzruszyła trochę dziecięca przyjaźń małego Muskwy, pieszczota jego miękkiego czerwonego języczka i to, że Muskwa nie porzucił Tyra w czasie tak ciężkiej przeprawy, gdyż chwilę powęszył z niepokojem, a potem legł koło głazu. Muskwa położył się także, a był tak wyczerpany, że prawie natychmiast zasnął.

Sapoos-oowin powtórzyło się dwukrotnie w ciągu przedpołudnia i Tyr zaczął doznawać uczucia głodu. Nie była to zwykła czczość, dla której zaspokojenia starczyłyby mrówki, poczwarki lub nawet koszatki. Może grizli chciał także uraczyć Muskwę. Dość, że gdy malec jeszcze spał głęboko i leżał pośród słonecznej plamy, Tyr postanowił ruszyć na wielkie łowy.

Dochodziła trzecia. Popołudnie było ciche i senne, jak to bywa w dolinie północnych gór przy końcu czerwca lub na początku lipca. Świstaki, nagwarzywszy się do syta, drzemały na wygrzanych słońcem skałach. Orły szybowały tak wysoko nad szczytami, że jedynie czarne punkty na лазurze nieba znaczyły ich obecność. Nasycone ścierwem sępy skryły się w gąszczu jodeł. Barany i kozice spoczywały tuż pod niebem. Wszystkie trawożerne zwierzęta wokół były najedzone i zażywały drzemki.

Górale-myśliwi wiedzą dobrze, że o tej godzinie niedźwiedzie, a szczególnie niedźwiedzie mięsożerne włączają się po zielonych stokach i po polanach wśród kęp drzew w poszukiwaniu łupu.

O tej porze Tyr zwykł był ruszać na zwiady. Instynkt mówił mu, że zwierzęta najedzone i senne są o wiele mniej czujne.

Najłatwiej mu było teraz odnaleźć przyszlą zdobycz i iść jej śladem. Czasem nawet zabijał przy świetle dziennym, na krótką bowiem metę biegał szybciej niż kozioł skalny czy baran, a równie

szybko jak karibu. Najczęściej jednak mordował o zachodzie słońca lub o zmroku wczesnego wieczoru.

Tyr wstał z donośnym sapnięciem, które zbudziło Muskwę. Niedźwiadek zerwał się, spojrzął na Tyra, potem na słońce i zaczął się otrząsać z kurzu, aż upadł znowu. Grizli obserwował go dość niechętnie; głód dawał mu się we znaki coraz bardziej. Chciał mięsa, dużej ilości krwawego, soczystego mięsa, tak jak zgłodniały człowiek marzy o potężnym befsztyku zamiast paluszków czy sałaty z majonezem. Kto wie, jakby się udały łowy, gdyby ten wygłodzony, niezdarny smyk deptał mu wciąż po piętach.

Muskwa, jakby rozumiejąc jego myśli, odpowiedział mu na swój sposób. Pędem ruszył pierwszy naprzód, a przebiegłszy kilkanaście jardów przystanął, nastawił uszka i z najbezczelniejszą w świecie miną obejrzał się na swego towarzysza.

Takim wzrokiem mógł patrzeć w twarz ojca mały chłopczyk, chcący wziąć udział w pierwszym w życiu polowaniu na króliki.

Tyr sapnął po raz drugi i runął ze zbocza w dół takim pędem, że zaraz znalazł się obok Muskwy. Natychmiast też trzepnął go łapą, aż niedźwiadek fiknął parę kozłów. Przetłumaczone na język ludzki miało to oznaczać:

— Nie pchaj się naprzód, mały, jeśli już chcesz polować ze mną.

Potem węchem, słuchem i wzrokiem badając okolicę, Tyr zaczął powoli zstępować ku dolinie. Nie szukał już teraz łatwych dróg, wręcz przeciwnie, zapuszczał się w najtrudniej dostępne przejścia. Szedł krzywą linią, zataczał półkola i kręgi, obchodził ostrożnie wielkie rumowiska, obwąchiwał każdą szczelinę, zwiedzał kępy drzew i gęstwy krzewów. Docierał w górze aż do nagich szczytów, potem zniżał się nad brzeg strumienia. Zstąpił aż o sto jardów ponad wąwóz. To kroczył tak wysoko, że zbliżał się do nagich skał, to spuszczał się tak nisko, że szedł wśród piasku i żwiru strumienia.

Powiew wiatru odkrył mu już niejedną woń, ale żadna go nie znęciła. Raz pod skałą zwietrzył kozicę. Ale nigdy nie wspinał się na turnie w poszukiwaniu mięsa. Dwukrotnie doleciała go woń barana, a późnym popołudniem zoczył wielkiego tryka spoglądającego nań ze stromego urwiska o sto stóp ponad nim.

Niżej nos Tyra natrafiał na ślady jeżozwierzy, a często, gdy wciągał powietrze, łeb jego zwieszał się nad śladami karibu.

W dolinie przebywały także i inne niedźwiedzie. Wędrowały zazwyczaj wzdłuż strumyka dnem parowu. Były to czarne lub brunatne niedźwiedzie. Raz uderzyła Tyra woń innego grizli. Wtedy zawarczał z rozdrażnieniem. Tak upłynęły dwie godziny, przez ten czas Tyr nie zwracał na Muskwę najmniejszej uwagi. W miarę jak słońce zniżało się ku zachodowi, mały uczuwał wciąż rosnący głód i znużenie. Żaden chłopczyk nie był nigdy dzielniejszy niż ten brunatny niedźwiadek. W trudniejszych przejściach potykał się i nieraz padał; w rumowiskach, które Tyr przebywał bez trudu, Muskwa

związany i drżący błdził jak w labiryncie. Grizli trzykrotnie przeprowiał się w bród przez strumień, a niedźwiadek topił się niemal, dążąc w ślad za nim. Był potłuczony i poraniony. Zmókł doszczętnie, łapka dolegała mu coraz silniej, jednak szedł dalej. Czasem następował niemal na pięty Tyra, czasem gnał co tchu, bojąc się, że go zupełnie zgubi.

Słońce już niemal gasło i Muskwa bliski był zupełnego wyczerpania, gdy Tyr znalazł wreszcie łup.

Na razie niedźwiadek nie mógł pojąć, dlaczego grizli na skraju bujnej łączki, z której mogli zajrzeć do małej kotlinki, skrył się raptem za leżący głaz. Miał ochotę zapiszczeć; milczał jednak, bo bał się Tyra. Tęsknił do matki. Nie rozumiał zupełnie, dlaczego porzuciła go raptem wśród skał i nie wróciła dotychczas. Nie rozumiał tej tragedii, którą nieco później mieli odkryć Langdon i Bruce. I nie mógł pojąć, dlaczego matka nie przychodziła doń teraz. Co wieczór o tej porze ssał ją przed spoczynkiem, urodził się bowiem w marcu i przynajmniej miesiąc jeszcze powinien był się żywić mlekiem, zgodnie z uznanymi zasadami niedźwiedzych matek.

Indianin Metoosin nazwałby go *munookow*, to znaczy bardzo delikatny. Niedźwiadek rodzi się inaczej niż wszystkie zwierzęta. Matka Moskwy, tak jak wszystkie niedźwiedzie matki w zimnych krajach, wydała go na świat długo przedtem, zanim ukończyła zimowy sen w jaskini. Urodził się, gdy spała. Przez miesiąc czy sześć tygodni, kiedy był jeszcze ślepy i nagi, karmiła go mlekiem, chociaż sama nie jadła, nie piła i nie oglądała światła dziennego. Pod koniec owych sześciu tygodni opuściła razem z nim jaskinię, aby poszukać pierwszej strawy dla siebie.

Od tego czasu upłynęło nie więcej niż drugie sześć tygodni i Muskwa ważył około dwudziestu funtów. To znaczy tyle ważył poprzednio, ale teraz miał brzuszek pusty niż kiedykolwiek w życiu i prawdopodobnie jeszcze stracił na wadze.

O paręset jardów poniżej, nad małym jeziorkiem leżącym w zagłębieniu łąki, rosła kępa jodeł. Wśród tych drzew spoczywało parę karibu: dwa lub trzy. Tyr wiedział to z taką pewnością, jak gdyby je widział. Równie łatwo jak człowiek odróżnia dzień od nocy, grizli odróżniał wenipow, czyli woń spoczywającego zwierza, od *nechisoo* — woni zwierzęcia będącego w ruchu. Pierwsza unosi się w powietrzu lekko, niby słaby, przelotny zapach ubrania i włosów przechodzącej kobiety, druga ściele się po ziemi, ciężka i przenikliwa jak woń stłuczonego flakonu perfum.

Muskwa podpełzł do boku wielkiego grizli i przypadł do ziemi. I on także wyczuł już obcą woń. Teraz przez dziesięć minut Tyr ani drgnął. Oczyrna ogarniał wgłębienie łączki, brzeg jeziora i skraj kępy jodłowej; nosem z dokładnością kompasu badał kierunek wiatru. Zwlekał, wiedział bowiem, że znajduje się w niebezpiecznym punkcie. W tym właśnie miejscu płatanina skał wytworzyła rozłam fal powietrznych; lada nieostrożny ruch mógł zdradzić jego obecność i udaremnić łowy, karibu bowiem mają znakomity węch.

Z nastawionymi uszkami, z nowym błyskiem zainteresowania w głębi ślepek, Muskwa brał pierwszą lekcję polowania. Tyr bezszelestnie posuwał się naprzód w kierunku wgłębienia, pełznąc niemal na brzuchu. Długa sierść jak grzywa zjeżyła mu się na karku. Muskwa szedł za nim trop w

trop. Tyr zataczał teraz półkole. Na przestrzeni stu metrów trzykrotnie przystawał węsząc. Wreszcie osiągnął to, czego chciał; miał wiatr prosto w oczy, a woń była obiecująca. Ruszył więc znowu naprzód. Skradał się stawiając drobne kroczki i przewalając się z łapy na łapę, każdy mięsień olbrzymiego cielska był napięty jak struna. Dotarł wkrótce do kępy jodeł i przystanął raz jeszcze. Z gęstwiny dochodził trzask gałęzi, karibu ruszyły się, ale nie były jeszcze spłoszone.

Szły tylko do wodopoju. Tyr znów postąpił naprzód kierując się słuchem; znieruchomiał u skraju gąszczy wśród liści, w miejscu, skąd górował nad wybrzeżem jeziora i nad łąką.

Spośród drzew wyszedł wielki samiec karibu. Rogi jego były na pół wyrosłe i jeszcze pokryte mchem. Za nim dążył piękny okrągły dwulatek, którego brunatna sierść w promieniach słońca lśniła miękko jak aksamit. Starszy samiec przystanął, wzrokiem, słuchem i węchem badając otoczenie; młodzik, mniej ostrożny, skubał żdźbła traw. Potem wielki karibu uniósł łeb, aż rogi legły mu na grzbiecie, i zaczął wolno kroczyć ku jezioru do wieczornego wodopoju; dwulatek stapał za nim. A Tyr bezszelestnie wysunął się z kryjóWKI.

Zwlekał ćwierć sekundy może, prężąc mięśnie, wreszcie skoczył. Od młodego samca dzieliło go pięćdziesiąt stóp. Przebył połowę tej przestrzeni, nim karibu go usłyszały. Runęły naprzód jak wyrzucone z łuku strzały. Było już jednak za późno. Tylko szybki koń mógłby ująć Tyrowi, a on już zyskał przewagę. Niby gnany wiatrem, wyprzedził dwulatek, skręcił nieco w bok i bez widocznego wysiłku, jak olbrzymia kula, uderzył w swą ofiarę. Jego potężne prawe ramię opasało kark karibu, a gdy razem zwalili się na trawę, lewa łapa zacisnęła się na pysku ofiary niby olbrzymia dłoń ludzka. Nie zadusił jednak karibu. Padając, grizli znalazł się pod spodem; uczynił to rozmyślnie. Ściągnął mięśnie tylnej łapy, a potem rozluźnił je nagle; pazury ostre jak sztylety przeorały brzuch karibu i strzaskały mu żebra. Łowy były skończone. Wówczas Tyr wstał, rozejrzał się i otrząsnął z głośnym pomrukiem; być może wyrażał w ten sposób radość albo zapraszał niedźwiadka na ucztę.

A Muskwa nie zwlekał ani chwili. Po raz pierwszy w życiu powąchał i chleptał ciepłą krew. Przypadek ten zadecydował o jego losie, tak jak niegdyś, przed *laty*, podobny przypadek zadecydował o losie Tyra.

Bynajmniej nie każdy grizli jest łowcą grubego zwierza, są to nawet na ogół nieliczne wypadki. Większość prowadzi wegetariański tryb życia, czasami tylko łowiąc koszatkę, świstaka lub jeżozwierza. Zbieg okoliczności jednak czyni z niedźwiedzia zabójcę karibu, kozic, baranów, jeleni lub nawet łosi. Takim zabójcą był właśnie Tyr. I takim z czasem miał być Muskwa, nawet chociaż nie był czarny i nie należał do rodziny *ursus horribilis*.

Uczta trwała dobrą godzinę. Raczyli się nie żarłocznie jak zgłodniałe psy, lecz jak smakosze, wybierając co lepsze kęski. Muskwa, rozpostarty na brzuszku, niemal między łapami Tyra, chleptał posokę i mruczał jak kot rwąc zębami delikatne mięso. Tyr, pomimo że *sapoos-oowin* wypróżniło mu całkowicie żołądek i kiszki, zaczynał od przystawek. Wydierał wąskie płatki tłuszczu ułożone w jamie brzusznej i łykał je mrużąc ślepią.

Ostatnie błyski słońca padały spoza gór i noc płynęła tuż za zmierzchem. Gdy skończyli jeść, panowała już głęboka ciemność, a Muskwa stał się zupełnie kwadratowy.

Tyr był z natury nadzwyczaj oszczędny. Nie marnował żywności. Gdyby mu się teraz inny karibu nawinął pod łapę, zapewne darowałby mu życie. Jedzenia miał przecież na razie w bród, chodziło tylko o to, by je należycie przechować.

Ruszył więc teraz w kierunku kępy jodeł, ale napęczniały Muskwa nie próbował nawet iść za nim. Nie chciało mu się ruszać z miejsca, przy tym nie wierzył, by Tyr porzucił naprawdę tak znaczną ilość mięsa. W dziesięć minut potem Tyr istotnie powrócił. W potężne szczęki jak w kleszcze ujął zdobycz u nasady karku, po czym, idąc nieco bokiem, zaczął ją wlec w kierunku gęstwiny. Dwulatek ważył zapewne czterysta funtów, ale Tyr poradziłby sobie nawet ze znacznie większym ciężarem; jedynie ciągnąłby go wówczas idąc tyłem jak rak. Dowłókł tedy swą zdobycz do pierwszych drzew, gdzie upatrzył poprzednio wgłębienie. Tam ukrył ścierwo i zaczął je zasypywać suchym igliwim, chrustem, korą i gałęziami. Skończywszy powęszył nieco wokół i wyszedł znów na łączkę.

Nie wspiał się i nie pozostawił na drzewie swego znaku jako przestrogi dla innych niedźwiedzi. Po prostu powęszył trochę wokoło, a potem wyszedł z gąszczu.

Tym razem Muskwa podążył za nim, kroczył jednak z trudem ze względu na swą niebywałą objętość. Gwiazdy zabłyśły właśnie na firmamencie, a w świetle tych gwiazd Tyr zaczął się piąć stromym i poszarpanym zboczem wiodącym ku szczytom górskim. Szedł coraz wyżej i wyżej. Wyżej niż Muskwa był kiedykolwiek w życiu. Minęli kotlinę zawianą śniegiem. Minęli wąwóz poszarpany niby w wulkanicznym wybuchu. Wątpliwe, czy góral nawet mógłby przejść tą drogą, którą Tyr prowadził Muskwę.

Wreszcie grizli stanął. Znajdowali się we framudze skalnej. Za sobą mieli niemal prostopadłą ścianę. Pod nimi opadało w dół chaotyczne rumowisko głazów; głęboko w dole leżała ciemna, bezdenna przepaść.

Tyr legł i po raz pierwszy od czasu otrzymania postrzałowej rany z westchnieniem ulgi złożył ciężki łeb na wyciągniętych łapach. Muskwa przysunął się jak najbliżej do ciepłego jego boku i obaj zasnęli rozkosznym snem sytych istot. Nad nimi gwiazdy lśniły coraz jaśniej, a księżyc wspaniałym światłem posrebrzał szczyty górskie i dolinę.

ROZDZIAŁ VII

Po południu tego dnia, kiedy Tyr opuścił błotnistą sadzawkę, Langdon i Bruce dotarli do przełęczy i zaczęli zstępować do doliny na zachód. Dochodziła druga, gdy minąwszy przełęcz przewodnik zawrócił po konie, a Langdon przez lornetkę badał z wysokiej góry okolicę. Kiedy wreszcie po dwóch godzinach Bruce zjawił się z dwoma wierzchowcami i Patelnią, obaj ruszyli brzegiem strumienia, wzdłuż którego wędrował Tyr. Gdy o zmierzchu rozbili obóz, dzieliło ich jeszcze parę mil od miejsca, w którym Tyr napotkał Muskwę. Jak dotąd nie odnaleźli wcale na piasku śladów rannego zwierza; Bruce jednakże twierdził stanowczo, że grizli idzie w tym właśnie kierunku, wędrując jedynie skalistym zboczem górskim.

— Mój miły Jimmy — zaczął przewodnik, gdy zasiedli po kolacji i palili fajki — kiedy wrócisz na łono cywilizacji i będziesz pisał o niedźwiedziach, to proszę cię bardzo, nie bądź takim idiotą jak większość twych kolegów. Przed dwoma laty miesiąc cały włóczyłem się z jednym przyrodnikiem. Był tak zachwycony wycieczką, że obiecał mi przysłać parę tomów swych bazgrot o życiu dzikich zwierząt. Dotrzymał słowa. Zacząłem czytać. Śmiałem się na razie, a potem ogarnęła mnie taka pasja, że wszystkie szpargały cisnął w ogień. Niedźwiedzie są bardzo interesujące. Można o nich pisać całe tomy ciekawych rzeczy, nie robiąc jednak z siebie wariata. Wystarczy być w zgodzie z prawdą!

Langdon potakująco skinął głową.

— Trzeba polować i zabijać, polować i zabijać całe lata, nim się odnajdzie prawdziwy sens wielkich łowów! — rzekł z wolna, patrząc w ogień. — A gdy się pojmie tę najwyższą rozkosz, gdy się jej odda serce i duszę, wtedy spostrzeża się, że największą sumę wrażeń daje nie morderstwo, ale właśnie oszczędzanie życia. Chodzi mi bardzo o tego grizli i będę go miał; nie porzucę tych gór bez jego futra. Ale z drugiej strony, mogłem przecie dziś zabić dwa inne niedźwiedzie, a nie próbowałem nawet strzelać do nich. Uczę się łowów i zaczynam się naprawdę rozsmakowywać w polowaniu. A kiedy człowiek poluje, jak należy, uczy się wielu rzeczy. Bądź spokojny, to, co napiszę o niedźwiedziach, nie będzie wysane z palca.

Nagle obrócił się nieco i spojrzał na przyjaciela.

— Opowiedz no mi parę tych głupstw, któreś znalazł w książkach — rzekł.

Bruce wypuścił kłęb dymu i namyślał się chwilę.

— A więc w największą wściekłość wprawiło mnie to, co ci pisarze bredzą o tak zwanych „znakach niedźwiedzi”. Jezus Maria! Taki bubek twierdzi, że kiedy niedźwiedź chce zawładnąć jakimś szmatem kraju, to staje dęba pod pierwszym lepszym drzewem i robi znak na pniu. No i panuje w okolicy, zanim inny miś, większy, nie sięgnie jeszcze wyżej. Czytałem nawet, że jeden

grizli, chcąc pognębić przeciwnika, przytoczył do pnia drzewa kłodę i wlaź na nią. Co za brednie! Ślady pazurów niedźwiedzi na drzewie nic nie oznaczają. Widziałem, jak niedźwiedzie ostrzą sobie o drzewa zęby i pazury niby kot. A latem, kiedy tracą sierść i skóra je swędzi, stają na dwóch łapach i ocierają się o pnie. Stąd te znaki na korze. To samo robią karibu, łosie i jelenie, żeby zetrzeć mech z rogów. Niektórzy pisarze twierdzą również, że każdy niedźwiedź ma swój wyłączny teren. Głupstwo! Widziałem raz osiem dorosłych grizli na zboczu jednej góry! A pamiętasz, jak przed dwoma laty, w małej dolinie, co miała może milę długości, ustrzeliliśmy cztery grizli. Czasami, to prawda, zdarza się pomiędzy nimi samotnik, ot, w guście tego, za którym gonimy teraz. Ale i on nie jest wcale jedynym niedźwiedziem na swym terytorium. Założę się, że w obu tych dolinach żyje ich jeszcze ze dwadzieścia sztuk. Zresztą przyrodnik, o którym mówię, nie umiał nawet odróżnić śladu czarnego niedźwiedzia od śladów grizli. I słowo daję, nie wiedział, co to jest niedźwiedź brunatny.

Wyjął fajkę z ust i z obrzydzeniem splunął w ogień. Langdon wiedział, że usłyszy coś jeszcze. Ogromnie lubił te chwile, w których Bruce, tak zazwyczaj milczący, poczynił gwarzyć.

— Brunatny niedźwiedź. Pomyśl tylko, Jimmy, ten uczone wyobrażał sobie, że istnieje specjalna rasa brunatnych niedźwiedzi. A gdy go zapewniałem, że się myli, że te, które spotyka, są to po prostu brunatno barwione czarne niedźwiedzie lub grizli, śmiał się ze mnie. Uczony! A ja urodziłem się i wychowałem wśród misiów. Wybałuszał na mnie ślepią, gdy mu chciałem coś niecoś wtłoczyć do łba o barwach niedźwiedzi. Myślał, że go nabieram. Sądzę, że może dlatego przysłał mi książki. Chciał dowieść, że ma jednak rację. A ja ci mówię, Jimmy, że nie znam stworzenia, którego futro miałyby tyle różnorodnych barw co futro niedźwiedzia. Widziałem niedźwiedzie z rasy „czarnych” białe jak śnieg. Widziałem grizli barwy kruczej. Widziałem grizli prawie tak czarne jak czarne niedźwiedzie. Widziałem i grizli, i czarne brunatnych odcieni. Widziałem egzemplarze obu gatunków brązowe, złotawe i prawie żółte. Różnią się zresztą pomiędzy sobą nie tylko barwą, ale także charakterem i trybem życia. Tymczasem przyrodnik obejrzy sobie z daleka jednego misia i podług niego opisuje wszystkie inne. To nieuczciwe wobec grizli, do licha! Każdy z tych pisarzy twierdzi na przykład, że grizli jest krwiożerczą bestią, że to największy ludożerca. Nieprawda! Grizli rzuca się na człowieka tylko wówczas, kiedy nie ma innego wyjścia. Jest ciekawy jak dzieciak i łagodny, jeśli mu nie zawracać głowy. Większość zresztą prowadzi wegetariański tryb życia. Większość — to nie znaczy wszystkie. Widziałem, jak grizli ciągnęły kozice, barany, karibu. Ale widziałem też, jak inne grizli szukały pożywienia na tych samych zboczach, na których pasły się tamte zwierzęta, i nie rzucały się na nie. To ciekawe bestie, Jimmy. Godzinami możesz gadać o niedźwiedziach, mówiąc tylko prawdę.

Urwał i zaczął wytrząsać popiół z fajki, jak gdyby chciał w ten sposób położyć nacisk na ostatnich słowach. A gdy nappełnił ją świeżym tytoniem, Langdon się odezwał:

— Jak sądzisz, czy ten wielki niedźwiedź, którego ścigamy, jest łowcą grubego zwierza?

— Nie wiadomo — odparł przewodnik. — Wielkość nic tu nie znaczy. Znałem raz niedźwiedzia mało co większego niż zwykły pies, a polował na barany i karibu. W tych górach co zimę setki zwierząt zamarzają na śmierć, a gdy śnieg zejdzie, niedźwiedzie pożerają padlinę. Taki niedźwiedź jest też mięsożerny, ale nie można go przecie nazwać łowcą grubego zwierza. Czasami grizli rodzi się mordercą, czasami staje się nim tylko przypadkiem. Ale ten, co raz zabije, będzie już potem

zabijał stale. Kiedyś, siedząc na zboczu góry, widziałem, jak kozica wpadła niemal między łapy dużego grizli. Niedźwiedź ani drgnął, ale koza, oszalała ze strachu, biegła prosto na niego. Więc zabił ją. Był potem wielce zdziwiony i dobre pół godziny obwąchiwał martwe zwierzę, nim wreszcie począł je szarpać. Po raz pierwszy zakosztował wtedy świeżego mięsa. Ponieważ nie zgładziłem go, więc pewien jestem, że stał się odtąd łowcą grubego zwierza.

— Przypuszczam jednak, że wzrost i tusza znaczą tu coś — odezwał się Langdon. — Sądzę, że mięsożerny niedźwiedź jest zawsze większy i silniejszy niż wegetarianin.

— Oto masz możność zapisania paru ciekawych spostrzeżeń — uśmiechnął się Bruce. — Dlaczego we wrześniu, kiedy jedynym pożywieniem niedźwiedzi są jagody, poczwarki i mrówki, stają się one tak tłuste, że ledwo mogą chodzić. Czy utyłbyś od dzikich porzeczek? Dlaczego niedźwiedź rośnie tak szybko w czasie snu zimowego, chociaż przecie nie je nic w ciągu czterech czy pięciu miesięcy? Małe rodzą się zazwyczaj w czasie zimy, kiedy matka jeszcze śpi, kiedy odbyła dopiero dwie trzecie snu, w tym śnie karmi je jednak miesiąc, czasem dwa. I dlaczego niedźwiadki przychodząc na świat są tak maciupkie? Mój przyrodnik zaśmiał się, gdym mu powiedział, że grizli po urodzeniu jest mały, co większy od nowo urodzonego kociaka.

— Należy do nielicznych głupców, którzy nie chcą się niczego dowiedzieć. A jednak nie można go całkowicie potępiać — wtrącił Langdon. — Przed pięciu laty jeszcze ja także bym ci nie uwierzył. Dopiero gdyśmy znaleźli te niedźwiadki w Athabaska. Jeden ważył jedenaście uncji, a drugi dziewięć. Pamiętasz? — I urodził się przed tygodniem, a niedźwiedzica ważyła osiemset funtów.

Palili czas jakiś milcząc.

— To jest niemal niewiarogodne — zaczął Langdon — a jednak prawdziwe. I nie jest to kaprys natury. Gdyby niedźwiadki przychodziły na świat stosunkowo tak duże jak kocięta, to niedźwiedzica nie mogłaby ich wykarmić, sama przez czas dłuższy nic nie jedząc i nie pijąc. Wydaje mi się natomiast, że zakradł się do tego prawa jeden błąd: dorosły czarny niedźwiedź jest o połowę mniejszy niż grizli, a świeżo narodzone czarne niedźwiedziątko jest o wiele większe niż noworodek grizli. I to dlatego, do diabła...

Bruce roześmiał się wesoło.

— Ach, Jimmy, to przecież takie proste — wykrzyknął. — Przypomnij sobie, jak w zeszłym roku zbieraliśmy w dolinie poziomki, a w dwie godziny później, nieco wyżej, obrzucaliśmy się śnieżkami. Im wyżej w górach, tym chłodniej. Dziś mamy pierwszego lipca, ręczę, że mógłbyś zamarznąć na śmierć na jednym z tych szczytów. Czarny niedźwiedź zimuje w dolinach, a grizli na wyniosłych zboczach. Podczas gdy wokół legowisk grizlich śnieg leży już wysoko, czarny niedźwiedź znajduje dostateczne pożywienie w głębokich dolinach i niżej położonych lasach. Zasypia o tydzień lub dwa tygodnie później niż grizli i budzi się także wcześniej. Gdy wchodzi do nory, jest tłustszy, gdy wyłazi, jest mniej wyczerpany. Niedźwiedzice mają więcej siły i łatwiej jest im wykarmić małe.

— Trafiłeś w sedno! — wykrzyknął zachwycony Langdon. — Że też nigdy nie przyszło mi to do głowy.

Przewodnik odparł:

— Człowiek nieraz nie domyśla się wielu rzeczy, choć je ma tuż pod nosem. Tak jak dopiero co mówiłeś, człowiek uważał myślistwo za piękny sport, aż tu przekonuje się, że polowanie nie zawsze polega na zabijaniu, ale często na darowaniu życia. Któregoś dnia siedem godzin leżałem na szczycie góry i obserwowałem skoki stada baranów. Dało mi to większą satysfakcję, niż gdybym wystrzelał całą gromadkę.

Umilkł, wstał i przeciągnął się, co o wieczornej porze oznaczało zawsze, że chce pójść spać.

— Śliczną będziemy mieli jutro pogodę — rzekł ziewając. — Spójrz, jak bieleje śnieg na szczytach.

— Bruce.

— Co?

— Ile może ważyć ten niedźwiedź, którego ścigamy?

— Tysiąc dwieście funtów, może trochę więcej. Nie miałem przyjemności widzieć go z tak bliska jak ty. Gdybym był wówczas na twoim miejscu, już byśmy dziś suszyli jego skórę.

— Jest w pełni sił, prawda?

— Ma osiem do dwunastu lat, sądząc z tego, jak biega po skałach. Stary niedźwiedź ma mniej sprężyste ruchy.

— Czy polowałeś kiedy na bardzo stare niedźwiedzie?

— Ojej! Na takie nawet, co powinny już były chodzić o kulach, a potraciły zęby ze starości — mówił Bruce rozsznurowując buty.

— Ileż lat mogły mieć?

— Trzydzieści, trzydzieści pięć, a może nawet czterdzieści. Dobranoc, Jimmy!

— Dobranoc, Bruce!

W parę godzin później zbudził Langdona istny potop. Wyskoczył spod koców jak z procy i zaczął wołać Bruce'a. Nie ustawili na noc namiotu i w chwilę potem Langdon słyszał, jak Bruce klął w pień własną głupotę. Noc była piekielnie ciemna; rozjaśniały ją jedynie blade smugi błyskawic. Grzmot

toczył się po górach i brzmiał tysiącnym echem. Langdon odrzucił na bok zmoczony koc i wyprostował się. Błyskawica pozwoliła mu dojrzeć Bruce'a. Przewodnik siedział na posłaniu, a kosmyki mokrych włosów oblepiły mu długą, chudą twarz. Na ten widok Langdon parsknął wesołym śmiechem.

— Spójrz no, Bruce — zadrwił powtarzając jego słowa sprzed godziny — jak śnieg bieleje na szczytach. Będziemy mieli jutro śliczną pogodę.

Huk grzmotu zagłuszył odpowiedź Bruce'a.

Langdon doczekał się nowej błyskawicy i przy jej świetle skoczył w gęstwinę jodeł. Przez pięć do dziesięciu minut tkwił tam skulony we czworo. Potem deszcz ustał równie nagle, jak zaczął. Błyskawice i grzmoty oddaliły się zgodnie ku południowi.

W ciemności Langdon słyszał, jak Bruce szpera wśród pakunków. Potem trzasnęła zapalka i zobaczył, że przewodnik spojrział na zegarek.

— Dochodzi trzecia... — mruknął. — Ale co za psia pogoda!

— Spodziewałem się tego — nonszalancko odparł Langdon. — Bo wiesz, kiedy śnieg tak bieleje na szczytach...

— Zamknij no buzię! Rozpalmy prędej ogień! Całe szczęście, żeśmy kocami przykryli zapasy. Czy bardzo zmokłeś?

Langdon wyciskał wodę z czupryny i czuł się jak zmokła kura.

— Ale gdzie tam! Siedziałem pod gęstą jodełką. Zresztą spodziewałem się kąpieli jeszcze z wieczora. Kiedy rozprawiałeś o białości śniegów na szczytach, coś mnie zaraz tknęło...

— Do diabła z tym śniegiem! — warknął Bruce, a suche smolne gałęzie jodłowe, które łamał na ogień, trzeszczały mu w dłoniach.

Langdon ruszył mu pomagać. Po chwili zapłonęło ognisko. Blask oświetlił twarze obu przyjaciół. Przekonali się, że żaden nie jest w złym humorze. Bruce uśmiechał się spod zmoczonych włosów.

— Spałem jak suseł, kiedy zaczęło lać — tłumaczył — i śniło mi się, że wpadłem do jeziora. Zbudziłem się próbując pływać!

W górach północnej Kolumbii Brytyjskiej ulewa nawet na początku lipca nie jest zbyt ciepła, toteż Langdon i Bruce przez całą niemal godzinę dokładali do ognia i suszyli ubrania i koce. O piątej zjedli śniadanie, a ledwo minęła szósta, ruszyli w dalszą drogę zabierając z sobą oba wierzchowce i jednego jucznego konia.

Bruce tryumfował. Przepowiednia jego sprawdziła się, gdyż po burzy nastął cudowny dzień. Łąka, którą jechali, przepojona jeszcze była wilgocią. Wezbrane strumienie doliny śpiewały głośniejsz niż zwykle. Z gór spłynęła połowa śniegów. Kwiaty, zda się, wyrosły przez tę noc i wypiękniały. Powietrze było pełne słodczy i świeżej woni porannej. Słońce zatapiało cały świat ciepłym morzem złotych blasków.

Dążyli dalej w górę strumienia, często pochylając się w siodłach, by obejrzeć z bliska piaszczysty brzeg w poszukiwaniu tropów. Konie nie uszły jeszcze ćwierci mili, gdy Bruce krzyknął nagle, wstrzymując wierzchowca. Ręką wskazywał okrągłą łachę, na której Tyr pozostawił ślad olbrzymiej łapy. Langdon zeskoczył z siodła i zmierzył go.

— To on! — krzyknął, a w głosie jego brzmiało podniecenie — może byśmy tu zostawili konie?

Przewodnik pokiwał głową. Zwlekając z odpowiedzią, zsiadł z konia i przez długą lunetę badał stoki górskie. Langdon czynił to samo z pomocą lornetki. Nie dojrzeli jednak nic szczególnego.

— Trzyma się wciąż jeszcze dna wąwozu — zawyrokował wreszcie Bruce — i jest zapewne o trzy lub cztery mile przed nami. Możemy się jeszcze przejechać dobry kawał, a potem znajdziemy dogodne miejsce dla koni, tymczasem trawa i krzaki obeschną.

Grizli szedł stale brzegiem strumienia, toteż z łatwością odnajdywali jego ślad. O paręset jardów od skalnego osypiska, poza którym Tyr napotkał Muskwę, leżała niewielka, pokryta trawą kotlina, a ze środka jej wyrastała kępa drzew. Tu myśliwi zsiadli z koni, rozsiodłali je i spętali im nogi. W dwadzieścia minut później kroczyli ostrożnie po tym samym miękkim piasku, na którym Tyr zawarł znajomość z Muskwą. Ulewa zatarła ślady łapek niedźwiadka, ale odciski łap grizli były jeszcze dość wyraźne.

Bruce błysnął zębami w szerokim uśmiechu spoglądając na Langdona.

— Jest bliżutko — szepnął. — Nie dziwiłbym się wcale, gdyby tu niedaleko spędził noc.

Poślinił palec i uniósł go w górę, miarkując kierunek wiatru, po czym znacząco pokiwał głową.

— Pójdziemy lepiej zboczem.

Obeszli rumowisko, trzymając broń gotową do strzału, i udali się w stronę ciasnego jaru, przez który był łatwy dostęp do górskich pochyłości. U wejścia do jaru stanęli znowu; dno jego krył piasek i wyraźnie znaczyły się na nim ślady innego niedźwiedzia.

Bruce przykląkł.

— Jeszcze jeden grizli — rzekł Langdon.

— Nigdy w życiu! To czarny niedźwiedź — zaprotestował Bruce. — Ach! Czyż ci nigdy nie

utrwałę we łbie różnicy, jaka istnieje pomiędzy tropem czarnego a tropem grizli? To jest ślad tylnej łapy. Pięta jest okrągła. Gdyby tędy przechodził grizli, pięta byłaby spiczasta. Przy tym ślad jest szeroki, toporny, a w stosunku do podeszwy pazury są ogromnie długie. Jasne jak słońce, że to czarny niedźwiedź.

— Dąży w tym samym kierunku, co i my — dodał Langdon. — Chodźmy!

O dwieście jardów w górę strumienia niedźwiedź wspiał się na zbocze. Bruce i Langdon poszli jego śladem. Wśród gęstej trawy i rozsianych tu i ówdzie głazów trop szybko zginął zupełnie; myśliwi przyjęli to obojętnie. Z tej wysokości mieli wspaniały widok na cały niżej leżący szmat kraju.

Bruce ani na chwilę nie tracił z oczu brzegów strumienia; wiedział, że tam odnajdą grizli, i nie obchodziło go nic poza tym.

Natomiast Langdon badał z zaciekawieniem wszystkie dostrzegalne wokół objawy życia. Każda grupa skał, każdy gąszcz krzewów mogły kryć w sobie jakieś istnienie, toteż szperał wzrokiem także wśród wyżej położonych grani i szczytów. Dojrzał w ten sposób coś, co sprawiło, że chwyciwszy nagle Bruce'a za ramię, przylgął z nim razem do ziemi.

— Spójrz! — szepnął wyciągając rękę.

Bruce nie zmieniając klęczącej pozycji patrzył i wytrzeszczał oczy ze zdumienia. O trzydzieści stóp powyżej stał duży, niemal kwadratowy blok skalny, a spoza niego wyglądał zad niedźwiedzi. Był to czarny niedźwiedź; jedwabista jego sierść lśniła w słońcu.

Bruce wpatrywał się weń jeszcze chwilę, potem uśmiechnął się.

— Śpi. Śpi jak zabity. Jimmy, pokażę ci coś. Położył karabin na ziemi i wyjął długi myśliwski nóż. Uśmiechał się, palcem próbując ostrza.

— Jeśliś nigdy dotąd nie widział, jak się „idzie” na niedźwiedzia, zobaczysz to teraz. Nie ruszaj się tylko.

Wolno i jak najciszej zaczął pełznąć zboczem ku skale, a Langdon wstrzymał dech w oczekiwaniu, co teraz nastąpi. Bruce dwukrotnie obrócił ku niemu uśmiechniętą szeroko twarz.

Niewątpliwie za chwilę miał nastąpić najdziwniejszy wśród szczytów Gór Skalistych atak na niedźwiedzia, a ta myśl w połączeniu z obrazem długiej, chudej postaci Bruce'a, czołgającej się zwolna, obudziła w Langdonie poczucie komizmu sytuacji. Wreszcie Bruce dotarł do skały. Długie ostrze błysnęło w słońcu i nóż na pół cala wniknął w zad niedźwiedzia. Langdon nigdy nie mógł zapomnieć tego, co teraz nastąpiło. Niedźwiedź ani drgnął. Bruce pchnął po raz drugi. Zwierz nie poruszył się i teraz, ale Bruce znieruchomiał jak skała, pod którą przykucnął. Szeroko otwarłszy usta,

obrócił się w stronę Langdona.

— No i co ty na to, mój stary? — wyjąkał i podniósł się powoli — on przecie nie śpi. On zdechł.

Langdon pędem skoczył ku niemu i razem okrążyli skałę. Bruce trzymał wciąż jeszcze w ręku nóż, a na jego twarzy malowało się silne zmieszanie. Zmarszczył czoło i stał przez chwilę bez słowa.

— Nigdy nie widziałem nic podobnego — rzekł wreszcie chowając nóżdo pochwy. — To niedźwiedzica, musiała mieć niedawno małe. I to bardzo młode sądząc z jej wyglądu.

— Podważyła skałę szukając świstaka i skała zmiażdżyła jej łeb, prawda, Bruce?

Bruce skinął głową twierdząco.

— Nigdy nie widziałem nic podobnego — powtórzył. — Zastanawiałem się zawsze, jak to się dzieje, że niedźwiedzie nie zabijają się ryjąc pod skałami. Ale nigdy nic takiego nie widziałem. Gdzież się jednak podziały niedźwiadki? Biedne maleństwa.

Przykląkł i zbadał sutki niedźwiedzicy.

— Miała najwyżej dwoje małych, może jednego — rzekł wstając. — Około trzech miesięcy temu.

— Zginął z głodu?

— Jeśli był tylko jeden, to zapewne tak. Miał więcej mleka, niż mógł wypić, i nigdy się nie potrzebował o siebie troszczyć. Niedźwiadki są jak małe dzieci; można je odstawić wcześniej, a można karmić mlekiem matki czas dłuższy. Widzisz, jak to źle pozostawiać dzieci bez opieki. Jeśli się kiedyś ożenisz, nie pozwól na to żonie. Bo takie maleństwo łatwo może się poparzyć albo kark skrócić.

Znów skierował się na zbocze i oczy jego dalej śledziły dolinę. Langdon postępował o krok za nim i zastanawiał się, co się mogło stać z niedźwiadkiem.

A Muskwa dalej spał na półce skalnej koło Tyra i śniąc o matce, która leżała na stoku pod głazem, cicho pisał przez sen.

ROZDZIAŁ VIII

Pierwsze błyski porannego słońca padły na skalny występ, na którym spali Tyr i Muskwa, a w miarę jak wznosiło się coraz wyżej, na skale robiło się coraz cieplej.

Tyr zbudzony przeciągnął się, ale nie wstał jeszcze. Zabliźnione rany, *sapoos-oowin* i wieczorna uczta wprawiły go w dziwnie błogi stan. Nie śpieszył się wcale z opuszczeniem złocistej słonecznej wanny. Z zainteresowaniem długo przyglądał się Muskwie. Niedźwiadek dręczony chłodem nocnym przytulił się do wielkiego grizli, wlaższy w ciepłe wgłębienie między jego przednimi łapami; leżał i cicho, niemowlęco popiskiwał przez sen.

Po chwili Tyr uczynił coś, do czego wczoraj jeszcze nie byłby absolutnie zdolny: powąchał przyjaźnie futrzany kłębek zwinięty u jego piersi i szerokim, płaskim, czerwonym ozorem polizał pyszczek Muskwy. A Muskwa, który śnił, być może, o swojej mamie, przytulił się bliżej.

Podobnie jak małe dzieci białych podbiły serca dzikich, którzy zamierzali je zabić, tak Muskwa w dziwny sposób wkroczył w życie Tyra.

Wielki grizli niezupełnie się jeszcze przyzwyczał do nowego stanu rzeczy. Musiał nie tylko przezwyciężyć wrodzony wstręt do wszelkich bachorów, ale także zwalczyć ustalone nawyki dziesięciu lat samotności. Zaczynał jednak pojmować, że bliskość Muskwy ma w sobie coś bardzo miłego i przyjaznego. Wraz z przybyciem ludzi obudziło się w nim nowe uczucie — może tylko iskra uczucia. Nie podobna w pełni ocenić przyjaźni, dopóki nie ma się wrogów i dopóki nie znajdzie się w obliczu niebezpieczeństwa. Może Tyr, który teraz po raz pierwszy spotkał się z prawdziwymi wrogami i prawdziwym niebezpieczeństwem, zaczynał pojmować wartość przyjaźni. Nadchodził zresztą czas miłosnych porywów, a niedźwiadek zachował jeszcze w futerku woń matczyną. Tak więc gdy Muskwa wygrzewał się jeszcze w słońcu i snuł błogie sny, w sercu Tyra rosło uczucie zadowolenia.

Obejrzał głąb doliny pełną Srebrnej rosy po nocnym deszczu i nie zauważył nic niepokojącego. Wciągnął nozdrzami powietrze i poczuł jedynie czystą słodycz woni traw, kwiatów, balsamicznych jodeł i wody prosto z chmur. Wówczas zaczął lizać ranę i ruch ten zbudził Muskwę.

Niedźwiadek uniósł łebek, mrugnął oczyma w słońcu, sennie potarł łapką pyszczek i wstał. Jak wszelkie młode istoty gotów był ha przyjęcie nowego dnia pomimo trudów i wysiłku poprzedniego.

Kiedy Tyr leżał jeszcze spokojnie, spoglądając w głąb doliny, Muskwa poszedł zwiedzić szczeliny w kamiennej ścianie. Myszkował pośród głązów na półce skalnej. Po chwili Tyr odwrócił wzrok od zielonych nizin i skierował go na Muskwę. Z pewną ciekawością śledził harce i zabawne ruchy niedźwiadka wśród kamieni. Potem wstał ociężale i otrząsnął się. Około pięciu minut trwał nieruchomo jak głąz, spoglądał w dolinę i wietrzył; Muskwa przyczłapał do jego boku i nastawił

uszka. Spoglądał to na Tyra, to w rozłożoną słońcem dal z niemym pytaniem w bystrych ślepkach.

Grizli odpowiedział mu. Okrążając wiszar skalny, zaczął zstępować w dolinę, a Muskwa tak jak wczoraj szedł jego śladem. Czuł się zresztą dwa razy większy i silniejszy niż poprzedniego dnia; nie dokuczał mu już wcale brak matczyne mleka. Tyr szybko dokonał w nim przewrotu: wciągnął go w krąg mięsożernych. Muskwa wiedział, że obaj wracają teraz na miejsce wczorajszej uczyty.

Przebyli już połowę odległości dzielącej ich od doliny, gdy powiew wiatru podrażnił nozdrza Tyra. Grizli przystanął, a w piersi jego wezbrał głuchy ryk, kreza na jego karku zjeżyła się groźnie. Tyr nie był na tym terenie usposobiony pobłażliwie, poczuł zaś odór innego niedźwiedzia. W zwykłych warunkach nie wprowadziłby go w podniecenie. Ale to była woń niedźwiedzia samca, nie samicy; dla samicy miałyby ostatecznie pewne względy. I płynęła skalnym wąwozem prowadzącym wprost do kępy jodeł, wśród których wczoraj wieczorem ukryte zostały resztki karibu.

Tyr nie wahał się ani chwili. Cicho warcząc zaczął zstępować w dół tak szybko, że Muskwa ledwo mógł za nim nadążyć. Przystanąli dopiero na skraju łączki, poniżej której leżało jezioro i las. Muskwa dyszał wywiesiwszy język. Nagle uszka stanęły mu sztorcem, wzrok znieruchomiał, a wszystkie mięśnie drobnego ciała zeszywniały jak stal.

Skrytka ich, położona już tylko o kilkadziesiąt jardów dalej, została ograbiona. Sprawcą kradzieży był wspaniały samotnik — olbrzymi czarny niedźwiedź. Ważył zapewne o trzysta funtów mniej niż Tyr, ale dorównywał mu wzrostem. Futro jego lśniło w słońcu jak atlas. Był to najsilniejszy i najbardziej wojowniczy z wszystkich niedźwiedzi, jakie kiedykolwiek zabrnęły na terytorium Tyra. Wyciągnął właśnie trupa karibu spod gałęzi i posilał się w oczach Tyra i Muskwy.

Po chwili Muskwa spojrzał pytająco na swego towarzysza. Co teraz zrobimy? Ściągnął nam obiad!

Tyr zwolna i z namysłem ruszył naprzód, niby nie śpiesząc się wcale. Gdy był już na skraju łąki, mniej więcej o trzydzieści kroków od straszliwego przeciwnika, przystanął raz jeszcze. W postawie jego nie znać było groźby; jedynie grzywa na karku jeżyła się bardziej, niż Muskwa kiedykolwiek widział.

Czarny niedźwiedź uniósł łeb znad uczyty. Oba potwory długą chwilę spoglądały sobie w ślepią. Olbrzymi łeb Tyra kołysał się teraz powolnym, wahadłowym ruchem. Czarny niedźwiedź trwał nieruchomo jak sfinks. Muskwa stał za Tyrem, oddalony od niego zaledwie o parę stóp. Po dziecięcemu zdawał sobie sprawę, że zaraz się coś wydarzy, i po dziecięcemu również gotów był albo podwinąć krótki ogonek i zmykać razem z Tyrem, albo wraz z nim ruszyć naprzód do walki. Był ogromnie zaintrygowany wahadłowym ruchem głowy Tyra. Każde dzikie stworzenie zna sens tego ruchu; człowiek z musu nauczył się go rozumieć.

„Jeśli grizli kołysze łbem, strzeż się go!” — takie jest pierwsze przykazanie myśliwego w Górach Skalistych.

Czarny niedźwiedź pojmował doskonale, o co chodzi. Tyr był pewien, że przeciwnik lada chwila

pocznie się cofać, dokona zwrotu wstecz i umknie. Grizli pozostawił mu na to dość czasu. Ale czarny rabuś po raz pierwszy zwiedzał tę dolinę. A co więcej, był potężny, z dotychczasowych walk wychodził zawsze zwycięsko i na swoim terytorium sprawował królewską władzę. Nie ustąpił. Pierwszy wydał groźny ryk.

Bez pośpiechu i bez widocznego wzruszenia Tyr ruszył wprost na łupieżcę. Muskwa postąpił za nim parę kroków, po czym przypadł do ziemi i rozpląszczył się na brzuszku. O parę stóp od ścierwa grizli przystanął raz jeszcze; olbrzymi jego łeb kołysał się coraz prędzej, a z na pół otwartej paszczy płynął pomruk grzmotu. Czarny obnażył kły. Muskwa zapiszczał.

Tyr posunął się naprzód małymi kroczkami; rozwarta jego paszcza ziała tuż nad ziemią. Olbrzymie cielsko prężyło się.

Dzieliła ich już odległość zaledwie jarda. Jak dwoje gniewnych ludzi walczyli tylko siłą oczu. Muskwa drżał jak w febrze i skomlał cicho bez przerwy; skowyt ten dotarł do uszu Tyra. To, co nastąpiło teraz, stało się tak nagłe, że Muskwa oniemiał ze zgrozy i leżał rozpląszczony na ziemi, nieruchomy jak kamień.

Z ochryłym, warkliwym rykiem, rykiem grizlich, nie dającym się porównać z głosem żadnego innego zwierza, Tyr rzucił się naprzód. Czarny niedźwiedź uniósł się lekko na zadzie, tyle tylko, by móc uskoczyć wstecz. Zderzyli się piersiami; czarny zwałił się na grzbiet, ale Tyr był zbyt wytrawnym szermierzem, by przeciwnikowi od razu rozedrzeć brzuch pazurami tylnej łapy. Wbił w jego bark aż po kość olbrzymie kły, zadając mu jednocześnie straszliwy cios lewą łapą. Ale pazury Tyra były stępione częstym ryciem wśród skał; czarny niedźwiedź, wspinający się na drzewa, miał szpony jak noże. I jak noże wbił je w zranioną łopatkę Tyra. Trysnęła krew.

Z rykiem, od którego ziemia zdawała się drżeć, olbrzymi grizli cofnął się i stanął dęba na całą swą wysokość dziewięciu stóp. Ostrzegł był swego przeciwnika. Nawet po rozpoczęciu walki pozwoliłby mu jeszcze ratować się ucieczką; teraz jednak zapowiadał bój na śmierć i życie. Czarny niedźwiedź nie tylko obrabował jego kryjówkę, lecz odnowił ranę zadaną ręką ludzką!

Przed chwilą Tyr walczył jedynie o swoje prawa, bez wielkiej nienawiści nawet i bez poważnej chęci mordy. Teraz wyglądał strasznie. W rozdziawionej paszczy spoza ściągniętych warg lświły białe kły i krwawe dziąsła; wokół nozdrzy pod skórą nabrzmiały mięśnie jak powrozy; pomiędzy ślepiami utworzyła się bruzda niby ślad siekiery na pniu sosny. Oczy jarzyły się jak rubiny, zielonkawoczarne źrenice niemal ginęły w tym straszliwym blasku.

Gdyby w tej chwili stał przed Tyrem człowiek, widziałby, że tylko jeden z nich dwóch ujdzie z życiem.

Tyr niedługo walczył stojąc. Przez parę sekund tylko trwał wyprostowany, ale gdy czarny niedźwiedź postąpił krok naprzód, grizli szybko opadł na przednie łapy. Szczepili się. Od tej chwili Muskwa przez długie minuty coraz bardziej rozpląszczał się na ziemi i błyszczącymi ślepkami śledził przebieg walki.

Tylko dżungle i góry znają podobne boje. Dolina trzęsła się od ryku. Potworne bestie niby ludzkie istoty brały się wzajem za potężne bary, a kłami i pazurami tylnych łap rwały i szarpały.

Przez dwie minuty w ciasnym, śmiertelnym uścisku przewalali się po trawie, i to jeden, to drugi był górą. Czarny walczył gwałtownie pazurami; Tyr posługiwał się zębami i straszliwą prawą tylną łapą. Nie próbował rozszarpać przeciwnika przednimi łapami, używał ich tylko do trzymania czarnego i rzucania nim. Jak wówczas, gdy mordował karibu, tak i teraz dążył do utrzymania się pod spodem. Raz po raz zanurzał długie kły w cielsku wroga. Lecz w walce na kły czarny górował nad nim szybkością i prawy bark Tyra był dosłownie poszarpany na strzępy, kiedy szczęki ich zwały się. Muskwa usłyszał zgrzyt zębów na zębach i przerażający trzask kości. Nagle czarny niedźwiedź zwał się na bok, jakby miał skręcony kark, a Tyr chwycił go za gardło.

Czarny walczył jeszcze; ale jego szeroko rozwarta, krwawa paszcza była już bezsilna, gdyż szczęki Tyra zaciskały się na jego krtani.

Muskwa wstał. Trząsł się w dalszym ciągu, nie ze strachu jednak, tylko przejęty nowym, nie znanym mu dotąd wzruszeniem. Po raz pierwszy widział bitwę i krew zawrzała w nim nagle. Z dziecinnym pomrukiem rzucił się w wir walki. Zębki jego wniknęły poprzez gęste futro w twardą skórę niedźwiedziego zadu. Łapkami wparty w ziemię, darł i szarpał, z pyszczkiem pełnym sierści, obłąkany ślepy szalem.

Nagle czarny dokonał półobrotu, legł na grzbiecie i przeorał brzuch Tyra. Podobny cios zabiłby karibu czy jelenia wypuszczając zeń wnętrzności; grizli otrzymał jedynie czerwoną, krwawą, głęboką ranę długości trzech stóp.

Czarny błyskawicznie rzucił się zaraz w bok i powtórny cios dosięgnął Muskwę. Pięta czarnego trzasnęła niedźwiadka i rzuciła nim jak z procy o dwadzieścia stóp. Malec nie poniósł szwanku, ale był zupełnie oszołomiony.

W tej samej chwili Tyr oderwał kły od gardła wroga i uskoczył nieco w bok. Ociekał krwią. Barki, kark i pierś czarnego niedźwiedzia broczyły posoką; wydarte kawały mięsa zwisały na strzępach skóry. Spróbował jednak wstać i Tyr rzucił się nań ponownie.

Tym razem wykonał niezawodnie śmiertelny chwyt; potężne szczęki zwał na pysku czarnego przeciwnika. Nastąpił okropny trzask i wałka ustała. Czarny niedźwiedź nie mógł już żyć, ale Tyr nie wiedział o tym. Z łatwością rozdarł mu teraz brzuch ostrymi jak noże pazurami tylnych łap. W dziesięć minut po śmierci wroga szarpał go jeszcze i wywlekał zeń wnętrzności.

Gdy wreszcie skończył, plac boju przedstawiał ohydny widok. Ziemia była poradlona i przesycona krwią. Walały się na niej strzępy ciemnego futra i kawały mięsa, a czarny niedźwiedź był zupełnie wypatroszony.

O dwie mile stamtąd, na zboczu górskim, Langdon i Bruce, przykucnięci pod skałą, śmiertelnie

bladzi, bez tchu niemal, nie odrywali w napięciu oczu od lornetek. Byli świadkami okropnego widowiska, ale z tej odległości nie dojrzeli małego Muskwy. Gdy skrwawiony Tyr stał dysząc nad trupem wroga, Langdon opuścił lornetkę.

— Mój Boże — westchnął. Bruce skoczył na równe nogi.

— Chodźże! — krzyknął. — Czarny już zdechł. Trzeba spieszyć, a dostaniemy grizli!

A tam na łące Muskwa podbiegł do Tyra niosąc w pyszczku strzęp ciepłej skóry i kłak czarnego futra. Tyr zniżył ku niemu wielki, okrwawiony łeb i czerwonym językiem przejechał po małej mordce. Brunatny niedźwiadek dobrze zdał egzamin; być może Tyr widział i zrozumiał wszystko.

ROZDZIAŁ IX

Po wielkiej bitwie Tyr i Muskwa nie tknęli nawet mięsa karibu. Tyr nie był w ogóle w stanie nic przełknąć, a Muskwa, podniecony do ostatnich granic i drżący, nie miał wcale apetytu. W dalszym ciągu żuł strzęp porosłej czarnym futrem skóry, mrużąc i warcząc szczenięco, jak gdyby kończył dzieło rozpoczęte przez Tyra.

Wielki grizli zaś stał przez długie minuty bez ruchu, nisko zwiesiwszy potężny łeb, a krew sącząca się z jego ran tworzyła na ziemi kałuże.

Patrzył w głąb doliny. Wiatr był tak słaby, że stało się prawie niepodobieństwem ustalić jego kierunek. Czasami jednak w przesmykach tworzyły się wiry powietrzne i silniejszy powiew muskał górskie garby i szczyty. Od czasu do czasu wiatr łagodnie opadał niżej i na chwilę napełniał dolinę szerokim, bezszelestnym tchnieniem, trącając korony jodeł i świerków. Jeden z takich górskich powiewów nadpłynął właśnie, gdy Tyr patrzył na wschód, a wraz z nim — słaba, ale groźna — nadeszła woń ludzka.

Tyr zbudził się z chwilowego letargu, na który sobie pozwolił, i mruknął nagle. Rozluźnione mięśnie napięły się. Uniósł łeb wciągając nozdrzami wiatr. Muskwa zaniechał daremnej walki z czarnym strzępem i również chłonał noskiem powietrze. Woń ludzi płynęła coraz wyraźniej. Langdon

i Bruce, pędząc na złamanie karku, pocili się obficie, a zapach ludzkiego potu jest ostry i daje się odczuć na znaczną odległość.

Nowy przypływ szału wstrząsnął Tyrem. Po raz drugi już czuł ten nienawistny powiew, kiedy był ranny i ociekał krwią. Już raz połączył w umyśle zapach ludzki z doznawanym bólem. To wrażenie teraz się powtarzało. Odwrócił łeb w kierunku zmasakrowanego wroga. Potem posłał groźny ryk na spotkanie wiatru. Nie miał wcale zamiaru uciekać. Gdyby Langdon i Bruce ukazali się w tej chwili spoza góry, zaatakowałby ich z tą bezwzględną dzikością, którą nie zawsze można poskromić nawet łożem i od której wziął okropne miano całej gatunek.

Ale wiatr ustał i powietrze było ciche. W dolinie szemrał strumień, świstaki pogwizdywały łagodnie. Sniegułki nawoływały się i wzlatywały gromadnie, trzepocąc białymi skrzydłami wśród zieleni łąk. To wszystko uspokoiło Tyra, tak jak pieszczoła kobieca łagodzi gniew mężczyzny. Przez parę minut porykiwał głucho i mruczał, coraz jednak ciszej, aż umilkł i powoli ruszył ku wąwozowi, którym niedawno zstąpił w towarzystwie Muskwy.

Muskwa dążył w ślad za nim.

Pomiędzy nimi a doliną wnet legła skalna gardziel. Rany, które Tyr otrzymał w ostatniej walce, inaczej niż rany od kul, przestały krwawić po pierwszych kilku minutach, toteż grizli nie pozostawiał za sobą czerwonych plam zdradzających jego przygody. Wąskim przesmykiem dotarli do pierwszego zwaliska wielkich głazów w połowie wysokości góry. Byli teraz jeszcze bardziej zasłonięci.

Przystanęli i ugasiли pragnienie wodą z małej sadzawki powstałej z topnienia śniegów na szczytach górskich. Potem ruszyli dalej. Dotarli do skalnej półki, na której spędzili poprzednią noc, ale Tyr się tu nie zatrzymał. Muskwa tym razem nie był znużony. W ciągu tych dwu dni zaszła w nim ogromna zmiana; był mniej okrągły i puszysty, natomiast nabrał wiele sił i zahartował się. Pod zmuszającą do wysiłku opieką Tyra szybko wyrastał z dzieciństwa i wkraczał w okres młodzieńczy.

Było widoczne, że grizli szedł już poprzednio tym skalnym występem. Wiedział, dokąd podąża. Przesmyk piał się wciąż w górę, a wreszcie zdawał się kończyć przed stromą ścianą. Muskwa następował Tyrowi na pięty. Grizli wprowadził go prosto do drugiego wąwozu, niewiele przekraczającego jego własną szerokość. Wyłonili się wkrótce po przeciwnej stronie i wpadli w najdzikszą i najbardziej chaotyczną gmatwaninę potężnych głazów, jaką Muskwa kiedykolwiek widział. Osypisko wyglądało jak olbrzymi kamieniołom. Wrzynało się w las daleko pod nimi i sięgało niemal do szczytu góry wznoszącej się nad nimi. Dalsza droga wśród tysiącznych zasadzek osypiska była dla Muskwy niepodobieństwem; toteż gdy Tyr zaczął się wspinać na pierwsze skały, niedźwiadek przystanął i zapłakał. Po raz pierwszy uprawiał maruderkę, a gdy spostrzegł, że Tyr nie zwraca uwagi na jego jęki, ogarnęło go przerażenie; zaczął wołać pomocy całą siłą płuc, gorączkowo szukając możliwego przejścia wśród głazów. Tyr jakby nie słyszał odgłosów tej tragedii i przeszedł około trzydziestu jardów. Potem stanął, odwrócił się z namysłem i czekał.

Na ten widok Muskwa nabrał znów odwagi; pazurkami, zębami i brodą czepiając się skał, zdyszany, po dziesięciu minutach wysiłku dotarł do opiekuna. I nagle opadł zeń strach; Tyr bowiem

stał na wąskiej ścieżce, równej i gładkiej jak podłoga.

Ścieżka miała może dwadzieścia cali szerokości. Na tym tle wyglądała niezwykle tajemniczo i nie na miejscu. Odnosiło się wrażenie, jak gdyby przeszła tędy armia robotników z młotami i rozłukła tony piaskowca i łupku, a potem wypełniła miążem przestrzeń pomiędzy głazami robiąc w ten sposób gładką, wąską drogę, na której miejscami kamienie były starte na proch i która miała twardość cementu. Lecz nie ubiły jej młoty, tylko udeptały ją kopyta tysięcznych pokoleń baranów górskich. Była to owcza dróżka przez góry. Może pierwsze stado baranów przeszło tędy, zanim Kolumb odkrył Amerykę. Z pewnością musiało upłynąć wiele lat, aby owcze kopytka zdołały ubić wśród skał ten gładki szlak. Tyr posługiwał się nim czasem, przechodząc z jednej doliny do drugiej; znacznie częściej jednak używały go inne stworzenia.

Podczas kiedy Muskwa nabierał tchu w płuca, a Tyr czekał nań, obaj usłyszeli z góry dziwny odgłos podobny do gdakania. O kilkadziesiąt kroków powyżej ścieżka kryła się za dużym skalnym złomem, a spoza tego złomu ukazał się wielki jeżozwierz.

Niepisane prawo Północy zabrania ludziom mordować jeżozwierza. Jest to „przyjaciel zbłąkanych”, gdyż błądzący i zgłodniały badacz czy myśliwy prawie zawsze w braku czego innego może znaleźć jeżozwierza, a nawet dziecko potrafi go zabić. Jest to humorysta dzikich krain; zwierzę najbardziej zadowolone ze swego losu, jakie kiedykolwiek istniało pod słońcem; ma też najlepszy w świecie charakter i najłagodniejszy sposób bycia. Wciąż się odzywa, gaworzy i gdacze, a gdy się przenosi z miejsca na miejsce, wygląda jak ogromna ruchoma poduszeczka do szpilek. Odnacza się także absolutną obojętnością w stosunku do swego otoczenia, jak gdyby był pogrążony we śnie.

Kiedy jeżozwierz zstępował ku Muskwie i Tyrowi, wesoło sam z sobą gawędził wydając odgłosy przypominające gaworzenie niemowlęcia. Był niezwykle opasły, a gdy się powoli posuwał, kołysząc się, kolce jego ogona szczękały po kamiennym stoku. Oczy miał wbite w ziemię, był bardzo zajęty myśleniem o niczym i dopiero znalazłszy się zaledwie o pięć stóp od Tyra, dojrzał go. Wtedy w mgnieniu oka zwinął się w kłębek i przez chwilę hałasował wściekle. Potem zamilkł jak sfinks i dwojgiem małych, czerwonych oczek obserwował wielkiego niedźwiedzia.

Tyr nie miał zamiaru go zabijać, ale ścieżka była wąska, a grizli stanowczo chciał przejść po niej. Ostrożnie posunął się o dwie stopy naprzód, a jeżozwierz, zrobiwszy zwrot wstecz, gotował się do obrony. W potężnym jego ogonie tkwiło kilkaset olbrzymich kolców; Tyr, znający już ich bojową wartość, zawahał się.

Muskwa, zaciekawiony, patrzył. Miał się czego uczyć, bo kolec, który wbił sobie w łapkę, był zgubionym kolcem. Wydawało się, że jeżozwierz wprawił Tyra w zakłopotanie, więc niedźwiadek skręcił i gotował się do odwrotu w razie potrzeby. Tyr postąpił jeszcze o krok, wtedy z nagłym: czuk, czuk, czuk! — bojowym okrzykiem swej rasy — jeżozwierz tyłem rzucił się na niedźwiedzia. Rąbnął powietrze grubym ogonem tak silnie, że gdyby kolce jego trafiły na pień drzewa, wbiłyby się weń zapewne na ćwierć cala. Cios chybił i jeżozwierz natychmiast zwinął się w kłębek.

Grizli omijając go wszedł na głaz. Tam czekał nadejścia Muskwy. Jeżozwierz był zachwycony

swym tryumfem. Odprężył się teraz, ułożył na płask kolce i gwarząc dobrodusznie, zaczął zstępować w kierunku Muskwy. Niedźwiadek instynktownie skoczył na brzeg ścieżki i ześliznął się z niej. Zanim się z powrotem wdrapał, jeżozwierz minął go całkowicie pogrążony w swej wędrówce. Jednakże przygoda nie skończyła się na tym, zaledwie, bowiem jeżozwierz wyszedł z kręgu niebezpieczeństwa, spoza skalnego występu ukazał się borsuk znęcony świeżym, smakowitym zapachem ulubionej potrawy.

Ten niegodziwy rabuś górski był trzykrotnie większy od Muskwy. Składał się jakby wyłącznie ze stalowych mięśni, kości, szponów i ostrych zębów. Na czole i na nosie błyszczało mu białe znamię; łapy miał grube i krótkie, ogon puszysty, a pazury przednich łap niemal tak długie jak pazury Tyra. Grizli powitał go groźnym pomrukiem i borsuk zawrócił na ścieżce w obawie o życie.

Tymczasem jeżozwierz, zapomniawszy już o spotkaniu z niedźwiedziem i nieświadom tego, że Tyr ocalił go od tak niechybnej śmierci, jaka spotkałaby go, gdyby spadł z wysokości tysiąca stóp do przepaści, posuwał się powoli dalej w poszukiwaniu nowych terenów obfitujących w żywność i gwarzył sobie w najlepsze. Tyr i Muskwa jeszcze prawie przez całą milę trzymali się owczej ścieżki, aż po wielu zakrętach wywiodła ich na szczyt góry. O trzy czwarte mili pod nimi płynął strumień, a ścieżka szła teraz wzdłuż górskiego grzbietu tak wąskiego, że widać zeń było obie doliny. Muskwie zdawało się, że poniżej unosi się złotozielona mgła; głąb przepaści wydawała się niezmierna. Bór wzdłuż strumienia był tylko czarną smugą, a przypominające park kępy sosen i cedrów na dalszych stokach robiły wrażenie zarośli tarniny czy wierzby.

Na wyżynie dał potężny wichur; porywy jego biły Muskwę z niezwykłą gwałtownością. Niedźwiadek kilkakrotnie uczuł pod stopami tajemniczy i wielce przykry chłód śniegu. Dwa razy zniżył się tuż ponad nim jakiś olbrzymi ptak. Muskwa nigdy takiego wielkiego nie widział. Był to orzeł. Za drugim razem spłynął tak nisko, że Muskwa usłyszał łopot skrzydeł i mógł rozróżnić potężny, krwiożerczy łeb ptaka i wysunięte naprzód ostre szpony.

Tyr uniósł głowę i wydał ryk. Gdyby Muskwa znalazł się tutaj sam, orzeł porwałby go bez wątpienia. Teraz jednak wielki ptak zatoczywszy trzeci krąg opadł na zbocze poniżej. Polował już na inną zwierzynę. Woń tej zwierzyny doszła wkrótce do nozdrzy Tyra i Muskwy i oba niedźwiedzie stanęły.

O jakie sto jardów pod nimi leżała kotlina skalna, a w niej, w ciepłym słońcu, wygrzewało się po porannym posiłku na niższych stokach stado baranów. Było tam około trzydziestu zwierząt, przeważnie owiec i jagniąt. Trzy potężne, stare barany legły na płacie śniegu od wschodu.

Orzeł dalej krążył rozpostarłszy olbrzymie skrzydła niby dwa wachlarze. Ulatywał tak cicho jak pióro unoszone przez wiatr. Owce, a nawet stare tryki nie podejrzewały jego obecności. Wszystkie niemal jagnięta spoczywały u boku matek, trzy tylko, bardziej rozbawione, hasały na skraju kotliny w wesołych podskokach. Orzeł śledził dzikimi oczyma tę właśnie trójkę. Nagle oddalił się na odległość strzału karabinowego, lecąc prosto pod wiatr. Potem z wdziękiem zatoczył łuk i wrócił z wiatrem. Nadlatując ze skrzydłami na pozór nieruchomymi nabierał coraz większej szybkości i spadł na jagnięta jak rakiet. Wydawało się, że zbliżył się i oddalił jak wielki cień. Jedynym wyraźnym

znakiem jego przelotu było żałosne, zduszone beknienie i tam gdzie były poprzednio trzy jagnięta, pozostały tylko dwa.

Stado zakotłowało się. Owce gwałtownie zaczęły biegać to tu, to tam, becząc gwałtownie. Samce skoczyły na równe nogi i stanęły jak skamieniałe. Uniosły wysoko potężne łby uzbrojone w rogi, jak gdyby wypatrywały, czy w przepaściach poniżej i na szczytach nad nimi nie kryje się nowe niebezpieczeństwo. Jeden dojrzał Tyra i jego ostrzegawczy, ochrypliły krzyk dał się słyszeć chyba o milę. Po daniu tego sygnału becząc runął w dół z boczem, a w chwilę potem lawina kopyt zadudniła po stromej pochyłości.

Potrącały kamyki i głazy, które toczyły się i waliły z góry z łoskotem, rosnącym w miarę jak poruszały się coraz dalsze warstwy kamieni.

Muskwa przyglądał się scenie z wielkim zajęciem i pozostałby tu jeszcze dłużej, gdyby go Tyr nie pociągnął za sobą.

W krótkim czasie owcza ścieżka zaczęła opadać w dół ku owej dolinie, z której strzały Langdona wyгнаły Tyra. Oba niedźwiedzie znajdowały się teraz o sześć do ośmiu mil dalej na północ niż rozłożony przez myśliwców obóz w lesie. Dróżka wiodła ku dalszemu dorzeczu Skeeny.

Minęła godzina. Nagie piargi i szare turnie zostały już za niedźwiedziami. Muskwa i Tyr kroczyli teraz wśród zieleni zboczy. Po zimnym wichrze hulającym wśród skał i okropnym błysku, jaki Muskwa dojrzał w oczach orła, piękna dolina pełna słonecznego ciepła, do której schodzili, wydała się Muskwie istnym rajem.

Było widoczne, że Tyr ma jakiś plan. Nie wałęsał się teraz. Skracał sobie drogę przez stoki omijając ich wybrzuszenia i występy. Nisko niosąc łeb, kierował się wprost na północ. Nawet igła kompasu nie zdołałaby wyznaczyć krótszej drogi ku nurtom Skeeny. Szedł nie zwalniając kroku, a Muskwa, dzielnie dążąc w ślad za nim, zastanawiał się, kiedy się wreszcie skończy ta wędrówka i czy na całym szerokim świecie może być dla wielkiego grizli i dla małego brunatnego niedźwiadka coś piękniejszego niż te cudowne zbocza skąpane w słonecznym blasku, które Tyrowi tak spieszno było porzucić.

ROZDZIAŁ X

Gdyby nie Langdon, ten dzień walki pomiędzy dwoma niedźwiedziami przyniósłby Tyrowi i Muskwie jeszcze większe wzruszenie i nowe, jeszcze groźniejsze niebezpieczeństwo.

W trzy minuty potem, gdy myśliwi zziązani i spoceni stanęli na placu krwawego boju, Bruce gotów już był podjąć na nowo pościg i palił się do niego. Wiedział, że wielki grizli nie mógł się jeszcze zbyt oddalić i był pewien, że kieruje się w górę. Odnalazł odciski łap Tyra na żwirze przesmyku mniej więcej wtedy, kiedy grizli i Muskwa doszli do owczej ścieżki.

Jednak argumenty jego nie przekonały Langdona. Przejęty był do głębi tym, co niedawno oglądał. Jako myśliwy-przyrodnik, nie miał zamiaru opuszczać tego zbrukanego posoką i zrytego szmata ziemi, na którym odbył się pojedynek grizli z czarnym niedźwiedziem.

— Przewędrowałbym z rozkoszą pięć tysięcy mil by ujrzeć podobne widowisko. Zgodziłbym się nawet nie oddać ani jednego strzału — mówił. — To miejsce warte jest, żeby się nad nim zastanowić i obejrzyć je. Grizli może zaczekać, a tu za parę godzin będzie smród nie do wytrzymania. Jeżeli w tym jest jakaś zagadka, chcę ją zbadać i już.

Cierpliwie i starannie Langdon zaczął przemierzać plac boju wzdłuż i wszerz, badając zorany pazurami grunt, kałuże ciemnej krwi, strzępy wyszarpanej skóry i straszliwe rany, od których skonał czarny niedźwiedź. Bruce zaś przez pół godziny był zajęty nie tyle śladami walki, co ścierwem karibu. Po pewnym czasie przywołał Langdona na skraj lasu.

— Chcesz wiedzieć, co tu zaszło? Zaraz ci to wyłożę. Wkroczył pomiędzy drzewa, a Langdon poszedł w ślad za nim. Stanęli wnet pośród gęstwiny, a Bruce wskazał palcem wgłębienie, w którym Tyr schował swą zdobycz; skrytka była poplamiona krwią.

— Dobrześ zgadł, nasz grizli jest mięsożerny! Wczoraj o zmierzchu uśmiercił karibu, tam, na łące. Wiem, że to on go zamordował, a nie czarny niedźwiedź, gdyż ślady stwierdzają to wyraźnie. Chodź ze mną, pokażę ci, gdzie grizli skoczył na karibu.

Zaprowadził Langdona aż na miejsce, w którym Tyr zamordował młodego karibu. Tam, gdzie Tyr i Muskwa uctowali poprzedniego wieczora, leżały strzępy mięsa i widniały plamy zaschłej krwi.

— Nazarłszy się dostatecznie, ukrył resztki w lesie — objaśniał Bruce. — Dziś rano przywędrował ten czarny, zwąchał pismo nosem i okradł spiżarnię. Tymczasem grizli zjawił się tu na śniadanie. Oto jak wygląda twoja zagadka!

— Ale grizli może tu jeszcze wróci?

— Żartujesz chyba! — zawołał przewodnik. — Gdyby nawet zdychał z głodu, nie ruszy już tego

mięsa. Sam widok tej łączki jest dla niego obecnie wstrętny.

Potem Bruce zostawił Langdona rozmyślaniami na polu bitwy, a sam zaczął szukać tropu Tyra. Langdon spędził całą godzinę pisząc w cieniu jodeł. Często podnosił się w poszukiwaniu nowych danych lub dla sprawdzenia tych, które już zebrał.

Tymczasem przewodnik kroczył z wolna dnem wąwozu. Grizli nie zostawił wcale śladów krwi, a jednak tam, gdzie mniej wprawne oko nie dojrzałoby żadnej wskazówki, Bruce wynajdywał coraz to inne dowody niedawnej bytności Tyra. Gdy wreszcie powrócił na skraj lasu i zastał tam Langdona robiącego notatki, miał wielce zadowoloną minę.

— Jest już po tamtej stronie gór! — rzekł krótko.

Słońce stało wysoko na niebie, gdy doszli do skalnego osypiska, z którego Tyr i Muskwa widzieli orła i stado baranów. Tu myśliwi zjedli śniadanie i przez szkła badali głąb doliny. Bruce milczał dość długo, potem zniżając lunetę zwrócił się do Langdona:

— Zdaje mi się, że już wiem, gdzie leżą granice jego państwa. Włada w tych dwóch dolinach; nasz obóz jest zbyt wysunięty na południe. Widzisz te drzewa w dole? Otóż tam właśnie powinien być nasz obóz. Co sądzisz o takim planie: pójdziemy za przełęcz zabrać konie i umieścimy je tutaj.

— A grizli poczeka do jutra?

— Nie możemy dłużej pozostawiać koni samych na uwięzi w tym wąwozie.

Langdon schował lornetkę i wstał. Nagle drgnął.

— A to co takiego?

— Nic nie słyszałem — odparł Bruce.

Chwilę stali obaj bez ruchu nasłuchując. Wiatr owiał im twarze i ucichł.

— Słuchaj! — szepnął Langdon, a głos jego wezbrał nagłym podnieceniem.

— Psy! — zawołał Bruce.

— Tak, psy!

Pochylili się naprzód, wyężywszy słuch ku wschodowi. Daleko, bardzo jeszcze daleko ujadała sfora. Metoosin przybył i szukał ich w dolinie.

ROZDZIAŁ XI

Tyr znajdował się w tym szczególnym stanie ducha, który Indianie zwą *pimootao*. Prymitywny jego umysł natychmiast przeprowadził kalkulację i chociaż może nie potrafił stwierdzić, że dwa a dwa to cztery, jego arytmetyka była na tyle poprawna, że wskazała mu drogę prosto na północ. Kiedy Langdon i Bruce doszli do szczytu owczej dróżki i słuchali grania sfory, mały Muskwa poddawał się uczuciu ponurej rozpacz. Nie łatwo, bowiem było dotrzymać kroku wielkiemu grizli, który gnał nie zatrzymując się wcale. W godzinę po zejściu z owczej ścieżki dotarł do linii podziału wód.

Z niewielkiej wyniosłości opadały dwa potoki dążące w przeciwnych kierunkach, jeden na południe do jeziora Takla, drugi na północ do Babiny, będącej dopływem Skeny. Grunt wokół nich obniżał się w szybkim tempie i po raz pierwszy Muskwa zobaczył moczary. Przecinali łąki, na których rosła trawa tak bujna i gęsta, że Muskwa gubił z oczu Tyra i kierował się jedynie odgłosem jego stąpanięc. Strumień coraz bardziej kręcił i stawał się coraz głębszy, a miejscami płynął wzdłuż ponurych, ciemnych stawów o niezmiernej — według przypuszczeń Muskwę — głębi.

Stawy te dały Muskwie pierwsze parę chwil wytchnienia. Tyr przystawał nieraz nad ich brzegami i węszył. Najwidoczniej szukał czegoś i nie mógł znaleźć, a ilekroć ruszył w dalszą podróż, Muskwa czuł coraz większe znużenie.

Oddalili się już o pełne siedem mil w kierunku północnym od obu myśliwych, gdy przed nimi ukazało się jezioro. Muskwa, który dotychczas widział jedynie wody pełne słońca, uznał je za ciemne i nieprzyjazne. Las porastał jego brzegi i schodził tuż nad wodę. Miejscami głębia była niemal czarna. W gęstych trzcinach pokrzykiwało dziwaczne ptactwo. Wkoło snuł się dziwny zaduch, rozlewała się jakaś woń. Podrażniony nią Muskwa mimo woli oblizwał wargi. Przez parę minut Tyr nieruchomy węszył i wciągał zapach, który przesycał powietrze. Była to woń ryb.

Grizli ruszył zwolna wzdłuż brzegu stawu. Dotarł wkrótce do ujścia strumyka, który miał w tym miejscu nie więcej niż dwadzieścia stóp szerokości, ale toń jego była równie ciemna, spokojna i głęboka jak toń jeziora. Przez jakieś sto jardów Tyr postępował wzdłuż strumyka, aż doszedł do miejsca, w którym w poprzek nurtu upadło kilka drzew. Pnie ich tworzyły coś na kształt tamy. Koło niej na wodzie zieleniała piana. Tyr wiedział, co się kryje pod tą powłoką.

Bardzo cicho wkroczył na pnie. W połowie strumienia przystanął i prawą łapą delikatnie usunął zielonkawy nalot. Tuż pod Tyrem utworzyło się jezioro czystej wody.

Błyszczące ślepka Muskwy śledziły każdy jego ruch. Niedźwiadek czuł, że Tyr krząta się wokół przygotowań do uczy; zaciekawiony pomimo znużenia i trochę niespokojny, rozmyślał na tym, w jaki sposób Tyr wyciągnie z tego jeziora coś jadalnego.

Tyr rozpląszczył się na brzuchu, łeb i prawą przednią łapę trzymał ponad tamą. Potem zanurzył prawicę w wodzie i nieruchomo czekał.

Wzrokiem sięgał dna strumienia. Przez chwilę widział jedynie to dno, parę zatopionych gałęzi i sterczący wierzchołek konara. Potem spod pni wypłynął lśniący, długi kształt; był to pstrąg piętnastocalowej długości. Przewijał się zbyt głęboko, toteż Tyr nie próbował go nawet dostać. Cierpliwie czekał. Cierpliwość ta została wkrótce nagrodzona. Wspaniały, czerwono nakrapiany pstrąg wyrzwał spod piany. Stało się to tak nagle, że Muskwa wrzasnął przerażony, bowiem olbrzymia łapa Tyra chlusnęła nagle na dwanaście stóp w górę, a ryba wyrzucona z wody padła z łoskotem tuż prawie koło niedźwiadka. Muskwa skoczył na nią w jednej chwili i zanurzył ostre zębki w miotającym się i trzepocącym pstrągu. Tyr uniósł się nieco na pniach, ale gdy zobaczył, że niedźwiadek posila się już, wrócił do poprzedniej pozycji.

Muskwa dokonał właśnie pierwszego w życiu mordku, gdy nowy słup wody trysnął wysoko i nowy pstrąg opadł na piach przybrzeżny. Tym razem jednak głodny Tyr nie dał się wyprzedzić. Tego popołudnia mieli w cieniu drzew nad strumykiem wspaniałą ucztę.

Trzykrotnie jeszcze Tyr wyławiał spod piany pstrągi, ale Muskwa zjadłszy jedną rybę był tak nasycony, że nie próbował jeść więcej. Po uczcie przez kilka godzin leżeli w chłodnym gąszczu w pobliżu tamy z pni.

Muskwa drzemał, ale czujnie. Zaczynał pojmować, że i on także ma do spełnienia pewne obowiązki, i za lada szmerem nastawiał uszka. Zdawał sobie sprawę z każdego ruchu, z każdego sapnięcia Tyra. Był zresztą od dnia tamtego Maratonu trochę niespokojny. Obawiał się, że może stracić swego wielkiego obrońcę i żywiciela, toteż pilnował jak oka w głowie tego przybranego ojca.

Tyr jednak nie miał zamiaru porzucić małego przyjaciela. Sympatia jego do Muskwę rosła z każdą chwilą.

Grizli przybył w dorzecze Babiny nie tylko wiedziony chęcią ucieczki przed ludźmi. Nie sprowadziło go również wyłącznie pragnienie rybiego mięsa. Ubiegły tydzień zbudził w nim rosnący stałe niepokój, a niepokój ten doszedł do szczytu w czasie ostatnich dwu czy trzech dni bitwy i ucieczki. Powstały długo tłumione tęsknoty. Gdy Muskwa drzemał w swym gniazdku wśród zarośli, uszy Tyra czynnie wyczekiwały pewnych odgłosów, a nozdrza jego często wietrzyły. Pragnął towarzyski. Nadchodził puskoowepesim — miesiąc rui. Co rok o tej porze lub przy końcu czerwca, czyli „miesiąca składania jaj”, grizli odnajdywał swą samicę, która zstępowała ku niemu z zachodnich stoków górskich. Był zresztą prawie całkowicie we władzy nabytych przyzwyczajęń i rokrocznie wyruszał na tę samą wędrowkę, zapuszczając się jeszcze w inną dolinę, daleko w kierunku Babiny. W drodze zawsze żywił się rybami i pokarm ten silnie zwiększał specyficzną jego woń.

Tyr przekonał się zapewne, że ten odór złoto nakrapianych pstrągów dodaje mu uroku w oczach niedźwiedzicy. Na wszelki wypadek opychał się rybami i cuchnął straszliwie.

Nieco przed zachodem słońca grizli wstał, przeciągnął się i wyrzucił na brzeg jeszcze trzy pstrągi. Muskwa schrupał głowę jednego z nich. Tyr pożarł resztę. Potem ruszyli w dalszą drogę.

Wkroczyli teraz w świat, który był dla Muskwy nowością. Znajome dźwięki pierzchły. Nie słychać już było pomruku wód, jak w położonych wyżej dolinach. Nie spotykało się świstaków ani śniegułek, ani tłusciutkich koszatek. Toń jeziora, ponura i głęboka, nie miała ani jednej zmarszczki; ramiona boru ujmowały ją ciasno ze wszech stron i czarne, niedostępne słońcu wody kryły się tu i ówdzie pod korzeniami drzew. Nie trzeba było wdrapywać się na złomy skalne, natomiast zastępowały drogę pnie zmurszałych drzew, zwalonych przez wiatr, i gąszcz zarośli. Powietrze było również inne, bardzo ciche. Pod łapami słał się wspaniały dywan miękkich mchów, w które Tyr zapadał niemal po pachy. Las był pełen dziwnego mroku i tajemniczych cieni; wisiała w nim ciężko ostra woń gnijących roślin. W lesie Tyr chodził znacznie wolniej. Cisza, mrok i duszne powietrze budziły w nim podejrzliwość. Kroczył cicho, często przystawał, rozglądał się i nasłuchiwał, węszył nad brzegami stawków ukrytych pod korzeniami drzew. Każdy nowy szmer osadzał go na miejscu; trwał wówczas czas jakiś z nastawionymi uszami i nisko opuszczonym łbem, nasłuchując.

Kilkakrotnie Muskwa dojrzał, pomiędzy szczytami drzew cienie przelatujące w mroku. Były to olbrzymie, szare sowy, zimą białe jak śnieg. Później nieco, gdy noc spłynęła już na ziemię, napotkali jakieś zwierzę o szeroko rozwartych ślepiach, gibkich ruchach i dzikim wyglądem. Na widok Tyra umknęło niknąc jak pocisk. Był to ryś.

Mrok zapadał, gdy Tyr wkroczył bardzo cicho na polanę. Muskwa pierwszy znalazł się na brzegu strumienia, a potem już nad wielkim stawem. W powietrzu stała silna woń i ciepło nieznanego istoty. Nie była to woń rybia, a jednak zdawała się płynąć ze stawu. Pośród wodnej przestrzeni czerniało kilka krągłych wzniesień, które wyglądały niby wielkie stosy chrustu oblepione błotem.

Przechodząc tym krańcem doliny Tyr nigdy nie omieszkał złożyć wizyty w kolonii bobrów; czasem też pozwalał sobie schrupać na śniadanie lub kolację młodego, dobrze wykarmionego samca. Dziś jednak nie był wcale głodny, przy tym śpieszył się bardzo. Pomimo to stał czas jakiś na brzegu stawu, ukryty w cieniu drzew.

Bobry zaczęły już nocną robotę. Muskwa zrozumiał wkrótce, co znaczą lśniące smugi szybko tnące wodę w różnych kierunkach. U szczytu trójkątnej fali widniał zawsze ciemny, płaski łeb. Większość tych łbów płynęła z głębi jeziora ku długiej, niskiej tamie, która o sto jardów na wschód wstrzymała napór wody.

Tyr nie widział jeszcze tej zapory, ale jako dobry znawca pojmował już, że jego przyjaciele-inżynierowie, których jadał tylko czasami, powiększają w ten sposób obszar swego państwa.

Tymczasem dwa duże bobry z głośnym pluskiem strąciły w wodę pieńki długości czterech stóp. Jeden z nich zaczął go pchać w kierunku nowo wybudowanej tamy, a drugi śpieszył do jakiejś innej

pracy.

Niebawem w lesie, na drugim brzegu stawu, rozległ się łoskot; inny robotnik zwałił drzewo.

Tyr ruszył teraz w kierunku tamy. W tej chwili pośrodku stawu rozległ się przeraźliwy trzask, a potem nastąpiło głośnie pluśnięcie; to stary bóbr dojrzał niedźwiedzia i ostrzegawczo uderzył w wodę płaską stroną potężnego ogona z hałasem, który w cichym powietrzu zabrzmiał jak strzał karabinowy. W mgnieniu oka na wszystkie strony rozległy się pluski, bobry dały nurka, a za chwilę staw zmarszczył się cały i zakołysał. Robotnicy, którym przerwano pracę, w podnieceniu płynęli pod osłoną głębi do swych fortec z chrustu i błota.

Muskwa tak był pochłonięty tym widowiskiem, że omal nie zapomniał o swym towarzyszu. Dopędził go dopiero obok tamy. Grizli badał długo stan nowej budowli, a potem wypróbował ją własnym ciężarem. Była mocna. Niby po moście dla nich wybudowanym dotarli po niej do przeciwnego brzegu. O paręset jardów dalej Tyr odnalazł wyraźny szlak karibu, który za pół godziny zaprowadził ich brzegiem jeziora do strumienia płynącego na północ.

Muskwa ciągle miał nadzieję, że Tyr się zatrzyma. Popołudniowa drzemka nie wyciągnęła wcale znużenia z jego kości; nie zmniejszyła też bólu miękkich łapek. Miał bezwzględnie dość wędrówki i gdyby o niego tylko szło, nie ruszyłby się z miejsca przez cały miesiąc. Żebyż mógł jeszcze iść normalnym krokiem! Ale łapska Tyra tak chyżo chłoneły przestrzeń, że Muskwa, by mu nadążyć, musiał kłusować tak jak pulchne, czteroletnie dziecko czepiające się rozpaczliwie palca dorosłego, szybko idącego mężczyzny. Muskwa nie mógł nawet czepiać się palca. Podeszwy niedźwiadka zamieniły się w pęcherze, delikatny nosek krwawił podrapany zaroślami i ostrą jak nóż trawą moczarów.

Spieszył jednak rozpaczliwie naprzód. Wreszcie znów żwir i piasek zajęły miejsce traw i droga stała się łatwiejsza.

W górze lśniły już miliony jasnych gwiazd. Najwidoczniej Tyr zdecydował się na *kuppatipsk-pimootao*, jakby to nazwał Indianin z plemienia Cree, czyli na *całonocną podróż*. Nie wiadomo, jakby się to skończyło dla Muskwy, gdyby bogowie grzmotu, deszczu i błyskawic nie sprzysięgli się, aby dać mu odpoczynek.

W ciągu mniej więcej godziny gwiazdy lśniły jeszcze pełnią blasku. Tyr niezmordowanie dążył naprzód; Muskwa utykał na wszystkie cztery łapki. Potem na zachodzie powstał głuchy szum, huczał coraz potężniej i zbliżał się szybko — prosto od ciepłego Oceanu Spokojnego. Grizli zaniepokoił się i zaczął węszyć. Gęsty mrok, niby czarny całun, osnuł niebo; sine błyskawice rozdzierały go raz po raz. Gwiazdy zaczęły znikać, zerwał się zawodzący wicher i deszcz lunął jak z cebra.

Tyr wynalazł blok skalny, pochylony nieco, i skrył się pod nim z Muskwą jeszcze przed potopem. Była to nie ulewa, ale istna powódź; wydawało się, jak gdyby wylała się tu część oceanu; w ciągu zaledwie pół godziny strumień zamienił się w rwący potok.

Grzmoty i błyskawice wprowadziły Muskwę w stan obłądnego przerażenia. Czasami w oślepiającym świetle błyskawicy mógł dojrzeć Tyraj w chwilę potem ogarniał go nieprzenikniony mrok. Zdawało się, iż z łoskotem padają szczyty górskie; ziemia drżała w posadach. Niedźwiadek przysuwał się coraz bardziej do Tyra, aż wgramolił się pomiędzy przednie łapy wielkiego grizli i schował mordkę w gęste kudły na jego piersi.

Tyr spoglądał raczej filozoficznie na rozszalałe żywioły, chodziło mu jedynie o to, by nie zmoknąć. Co prawda lubił kąpiel, ale tylko w dni upalne; wyszedłszy z wody kładł się wówczas na wygrzanych słońcem skałach.

Potop wreszcie ustał; ale przez długi czas jeszcze lał monotony deszcz. Muskwie to się podobało i zasnął wkrótce pod skałą, wtulony w szeroką pierś Tyra. Spał kilka godzin, a Tyr czuwał. Jego także ogarniała nieraz senność, ale niepokój miłosny budził go wnet i trzymał w nieustannym napięciu.

Zaraz po północy deszcz ustał, ale mrok trwał nieprzenikniony; wezbrany potok wystąpił z brzegów i zalał je, toteż Tyr pozostał w swym schronieniu aż do świtu. Muskwa wyspał się doskonale.

Tyr zbudził go z pierwszym brzaskiem dnia. Razem opuścili skalny namiot. Muskwa czuł się o wiele lepiej niż ubiegłego wieczoru, chociaż ścięgna miał jeszcze sztywne, a podeszwy łap nadal mu dolegały. Grizli ruszył wzdłuż strumienia. Po obu brzegach ciągnęły się teraz niskie równiny pocięte wielu małymi dopływami rzeczki. Rosła tam wspaniała trawa i smukłe lilie na długich łodygach. Grizli ogromnie lubił je zjadać. Lecz niedźwiedziowi ważącemu tysiąc funtów najedzenie się takim jarskim przysmakiem zajęłoby wiele godzin, jeżeli nie cały dzień, a Tyr uważał, że nie ma czasu do stracenia. Kiedy kochał, a było to tylko przez kilka dni w roku — kochał bardzo gorąco. Podczas owych dni zmieniał tryb życia; odżywianie się i tuczenie przestawało być jedynym jego celem. Na krótki czas zarzucał zwyczaj życia po to, aby jeść, i jadł po to, aby żyć. Brzuszek Muskwy kurczył się już z głodu, zanim wreszcie Tyr zdecydował, że pora coś przekąsić.

Lecz wreszcie wczesnym popołudniem doszli do sadzawki, której grizli nie potrafił ominąć. Sadzawka miała najwyżej dwanaście stóp szerokości i roiła się od pstrągów. Ryby nie zdołały dotrzeć z nurtem strumienia do wyżej położonego jeziora, a po ustaniu powodzi zbyt długo zwlekały z odbyciem wędrówki do głębszych rzek: Babiny czy Skeeny. Schroniły się do tej sadzawki, która miała się teraz dla nich stać śmiertelną pułapką.

Na jednym krańcu sadzawki woda miała dwie stopy głębokości, z przeciwnej strony było jej zaledwie na parę cali. Tyr zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem wkroczył do sadzawki w najgłębszym jej miejscu. Pstrągi lśniąca ławą runęły wnet w przeciwnym kierunku. Grizli wolno sunął naprzód i kiedy znalazł się w miejscu, w którym wody było zaledwie na osiem cali, stanął. Ryby, oszalałe ze strachu, jedna po drugiej usiłowały przemknąć się z powrotem do głębszej części sadzawki. Raz po raz wielka prawa łapa Tyra wyrzucała w powietrze całe snopy wody.

Pierwsza „fontanna” przewróciła Muskwę; ale wraz z nią spadł na ziemię dwufuntowy pstrąg i niedźwiadek szybko odszukał go w trawie, a potem zabrał się do uczt.

Pod potężnymi ciosami łapy Tyra woda sadzawki tak się zakotłowała, że ryby, ogarnięte paniką, miały się tam i z powrotem, toteż Tyr wyrzucił na brzeg dwanaście pstrągów.

Muskwa był tak pochłonięty posiłkiem, a Tyr połowem, że żaden z nich nie zauważył przybycia gościa. Obaj spostrzegli go jednocześnie i przez długie pół minuty stali i patrzyli nań tak zdumieni, że odjęło im możliwość ruchu. Gościem był inny grizli, który tak spokojnie zjadał wyłowioną przez Tyra rybę, jak gdyby była jego własną zdobyczą.

W kodeksie niedźwiedzim nie ma większej obrazy ani bardziej śmiertelnego wyzwania. Nawet Muskwa pojął to i pytająco spojrzął na Tyra. Czuł, że znowu będzie bitwa, i oblizywał już wargi.

Tyr powoli wylazł z sadzawki. Przystanął. Oba grizli spoglądały na siebie długą chwilą; nowy przybysz jadł bez ustanku.

Żaden nie wydał ryku. Muskwa nie mógł dostrzec w wyglądzie Tyra znamion nieprzyjaźni. A potem, ku rosnącemu zdumieniu małego niedźwiadka, grizli zaczął chrupać pstrąga o trzy stopy od intruza.

Może człowiek jest najdoskonalszym stworzeniem na świecie, jednak jeśli chodzi o szacunek należny starszym, grizli dorównuje mu, a nieraz nawet go przewyższa. Tyr nie okradłby staruszka swojej rasy, nie walczyłby z nim, podzieliłby się z nim własną zdobyczą. O ludziach, niestety, nie zawsze można to powiedzieć.

Otóż gościem był stary niedźwiedź; stary i chory przy tym. Wzrostem dorównywał niemal Tyrowi, ale ze starości był o połowę od niego węższy w barach i miał karykaturalnie chudą szyję i głowę.

Indianie zwą takiego grizli Kuyas Wapusk — ten, co umiera ze starości — i nie polują na niego. Biali strzelają doń. Inne niedźwiedzie tolerują go i pozwalają mu jeść upolowane przez siebie mięso.

Grizli, o którym mowa, konał z głodu. Nie miał już pazurów. Sierść mu wypelzła; tu i ówdzie świeciły duże łysiny. Gdyby dożył pierwszych śniegów, jego sen zimowy byłby ostatni. Może śmierć czekała go jeszcze wcześniej. *Kuyas Wapusk* zawczasu poznał jej tchnienie. Wpełza do jakiejś groty prawie niedostępnej, do jakiejś głębokiej szczeliny skalnej i tam kona.

Bruce i Langdon nie słyszeli nigdy, aby ktokolwiek odnalazł na terenie Gór Skalistych kości lub trupa niedźwiedzia zmarłego naturalną śmiercią.

A wielki Tyr, ścigany przez człowieka, znaczony piętnem ran, zdawał się rozumieć, że jest to ostatnia na ziemi ucztą *Kuyas Wapuska*, który jest zbyt stary, by łowić ryby, zbyt stary, by polować, zbyt stary nawet, by móc wygrzebać z ziemi miękkie kłaczki dzikich lilii. Nie przerywał mu więc posiłku, pozwolił najeść się do syta, a potem ruszył w dalszą drogę, wiodąc z sobą Muskwę.

ROZDZIAŁ XII

Jeszcze przeszło dwie godziny Tyr prowadził Muskwę na tę męczącą włóczęgę w kierunku północnym. Od owczej ścieżki dzieliła ich już przestrzeń dobrych dwudziestu mil; dla Muskwy była to niby podróż naokoło świata. Zazwyczaj niedźwiadek odbywa po raz pierwszy tak długą wędrówkę dopiero w drugim, a nieraz nawet w trzecim roku życia.

W tej drodze ku dolinie Tyr nie tracił czasu na błądzenie po górskich stokach; wybrał najłatwiejszy szlak wzdłuż biegu strumienia. Gdy jednak odszedł o trzy czy cztery mile od sadzawki, przy której nastąpiło spotkanie ze starym niedźwiedziem, grizli, raptownie zmieniając kierunek, ruszył wprost na zachód. W chwilę później znowu gramolili się na górskie zbocze.

Ćwierć mili szli długim zielonym stokiem. Tym razem los okazał się dla Muskwy dość łaskawy, Tyr bowiem odnalazł wkrótce znajomy przesmyk o niemal zupełnie równym dnie — i przesmyk ten wywiódł ich bez wysiłku na skłon innej doliny.

Od chwili gdy Tyr wyrzął poza północne granice swego państwa, zaszła w nim zmiana. Grizli przestał się śpieszyć. Przez piętnaście minut stał spoglądając w dolinę i wietrząc. Potem z wolna zaczął zstępować w dół, ku zielonym łąkom nad brzegami strumienia. Dotarłszy tam łowił w rozwarte nozdrza wiatr płynący z południowego zachodu.

W powietrzu nie odnalazł jednak upragnionej woni — woni swej niedźwiedzicy. A przecież instynkt, bardziej niezawodny niż rozum, mówił mu, że Iskwao jest blisko, że musi być tuż. Nie brał pod uwagę możliwości choroby czy śmierci niedźwiedzicy z rąk myśliwych. Tędy zawsze kroczył na jej spotkanie i prędzej czy później nadchodziła. Znał jej woń. Chodził tam i z powrotem po dolinie, aby nie mogła mu ujść.

Zakochany grizli jest równie głupi jak zakochany człowiek: nic go na świecie nie obchodzi poza przedmiotem jego westchnień. Wszelkie zwyczaje Tyra, kiedy indziej tak niewzruszone jak gwiazdy na niebie, poszły w tej chwili w niepamięć. Zapomniał nawet o głodzie. Świstaki i koszatki były zupełnie bezpieczne. Zapomniał o znużeniu. Gotów był wędrować całą dobę w poszukiwaniu bogdanki.

Trudno się też dziwić, że w takim stanie ducha zupełnie nie myślał o Muskwie. Do zachodu słońca, co najmniej dziesięć razy tam i z powrotem przebywał wody strumienia. Niedźwiadek, pełen rozpacz, toczył się ogłupiały za nim, pływał i szamotał się ociężale, aż omal nie utonął. Wreszcie,

gdy Tyr wkroczył w wodę po raz dwunasty, Muskwa zbuntował się i nie przepawił na drugi brzeg. Tyr wkrótce powrócił.

Słońce już zachodziło, gdy stała się rzecz nieoczekiwana. Lekki wietrzyk, który wiał, popłynął z zachodu i z zachodnich stoków górskich, z odległości pół mili przyniósł ku nozdrzom Tyra upragnioną woń. Grizli znieruchomiał na pół minuty, a potem ruszył cwałem tak niezgrabnie, jak wśród czworonogów potrafi tylko niedźwiedź.

Muskwa potoczył się za Tyrem jak piłka, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, by mu nadażyć, a jednak coraz bardziej zostając w tyle. Straciłby go z oczu zupełnie, gdyby nie to, że Tyr przystanął u stóp pierwszego zbocza i węszył. Gdy zaczął się piąć na zbocze, Muskwa dojrzał go i z rozpaczliwym piskiem rzucił się znów za nim.

O paręset jardów powyżej ciągnął się jar, a w jarze tym, węsząc i badając nozdrzami powietrze tak jak Tyr, stała piękna niedźwiedzica przybyła tu z dalekich gór. Towarzyszył jej roczny niedźwiadek.

Kiedy grizli dotarł na krawędź wąwozu, znalazł się o pięćdziesiąt jardów od swej samki. Zatrzymał się. Spojrzał na niedźwiedzicę. A Iskwao patrzyła na niego. Teraz zaczął się typowy flirt niedźwiedzi.

Zdawało się, że Tyrowi przestało być pilno, że ostygł naraz i zobojętniał zupełnie. A jeżeli Iskwao poprzednio płonęła i tęskniła, teraz przestała się troszczyć o swego niedźwiedzia. Przez parę minut Tyr stał i rzucał wkoło obojętne spojrzenia. Tymczasem nadbiegł Muskwa i umieścił się u boku przyjaciela. Spodziewał się nowej walki.

Iskwao, jak gdyby Tyr nigdy nie zaprzętał jej myśli, podważyła łapą płaski kamień i zaczęła wyjadać rozsiane pod nim poczwarki i mrówki. Tyr, nie chcąc dać się jej prześcignąć w stoickiej obojętności, wyrwał kępkę trawy i zjadł ją. Iskwao postąpiła parę kroków naprzód; Tyr uczynił to samo. I jak gdyby czystym przypadkiem kierowali się jedno ku drugiemu.

Muskwa wpadł w zdumienie, starszy niedźwiadek był również zaintrygowany. Siedzieli na tylnych łapach jak dwa psy, jeden trzykrotnie większy od drugiego, i zastanawiali się, czym się to skończy. Minęło pięć minut, nim Tyr i Iskwao podeszli do siebie na odległość pięciu stóp. Wówczas z wielką godnością nozdrza ich się spotkały.

Obcy niedźwiadek podszedł do niedźwiedziej pary. Indianin nazwałby go Pipoonaskoos; to niezwykle długie imię znaczy „roczniak”. Otóż Pipoonaskoos śmiało zbliżył się do Tyra i swojej matki. W pierwszej chwili grizli nie zwrócił nań żadnej uwagi. Potem nagle silny cios prawej długiej łapy poderwał malca z ziemi i jak piłkę rzucił w kierunku Muskwy.

Iskwao obojętnie przyjęła klęskę swego potomka i pełna miłości oparła znów nos o nozdrza Tyra.

Muskwa był jednak pewien, że zaczyna się druga w jego życiu wielka bitwa, toteż z dzikim

wrzaskiem runął po pochyłości i całym impetem wpadł na Pipoonaskoosa. Pipoonaskoos był „maminsynkiem” to znaczy wbrew utartym zwyczajom trzymał się jeszcze boku matki w drugim roku swego istnienia. Żywił się mlekiem matki do piątego miesiąca życia. Teraz Iskwao nadal karmiła go smacznymi kaskami. Rósł więc tłusty, lśniący i niewytrzymały na trud i ból.

Muskwa za to przeżył w ostatnich dniach twardą szkołę życia, toteż choć był trzykrotnie mniejszy od intruza, choć podeszwy miał w ranach i grzbiet mu dolegał, spadł na drugiego niedźwiadka jak kula wystrzelona z armaty.

Pipoonaskoos, oszołomiony już ciosem łapy Tyra, rozpaczliwym rykiem począł wzywać na ratunek matkę, aby broniła go przed tym nagłym atakiem.

Nigdy jeszcze nie walczył. Tarzał się na grzbiecie, gmerając łapkami w powietrzu, drapiąc i piszcząc, podczas gdy ostre jak igły ząbki Muskwy dobierały się do jego miękkiej skóry.

Muskwie udało się chwycić wroga za nos i wpić weń kły. Jeżeli roczniak miał w sobie choć odrobinę hartu, stracił ją teraz. Zaczął wrzeszczeć, jakby go obdzierano ze skóry, dając znać matce, że go mordują. Iskwao nie zwróciła na te ryki żadnej uwagi, lecz dalej obwąchiwała nozdrza Tyra.

Wreszcie Pipoonaskoos wyswobodził krwawiący nos, strząsnął Muskwę po prostu siłą własnego ciężaru i zaczął czym prędzej uciekać.

Muskwa dzielnie runął w trop za zbiegiem. Zatoczyli pędem dwa duże koła; młodszy niedźwiadek pomimo krótkich łapek zbliżał się wciąż do swej ofiary. Pipoonaskoos obejrzał się pełen rozpacz, potknął o kamień i legł na ziemi jak długi. Za chwilę Muskwa siedział mu już na karku, szarpał i warczał. Kto wie, czym by się skończyła ta bójka, gdyby nie to, że Tyr i Iskwao znikli powoli za garbem skalnym, zstępując ku dolinie.

Muskwa był zdumiony, że Tyr zamiast rozszarpać niedźwiedzicę odchodzi razem z nią.

Pipoonaskoos także przybrał wygodniejszą pozycję i patrzył. Potem Muskwa spojrział na niego, a on odpowiedział mu spojrzeniem. Brunatny niedźwiadek oblizał się, jakby w rozterce, czy nadal rozkoszować się tarmoszeniem Pipoonaskoosa, czy też spełnić obowiązek podążenia za Tyrem.

Pipoonaskoos przeciął ten węzeł gordyjski. Przerażliwie skomlać pognał w ślad za swą rodzicielką.

To, co się potem działo, było dla obu malców źródłem nieustannej ciekawości.

Tyr i Iskwao spędzili całą noc sami wśród gąszczy wierzb i sosen nad brzegiem strumienia. Z wieczora Pipoonaskoos raz jeszcze próbował zbliżyć się do matki, ale Tyr wrzucił go w sam środek strumienia. Z zajścia tego Muskwa wyciągnął wniosek, że starsi nie mają ochoty zadawać się z dziećmi. Wynikiem tego było zawarcie ostrożnego i nieufnego przymierza z Pipoonaskoosem.

Cały następny dzień Tyr i Iskwao spędzili we dwoje.

O pierwszym brzasku Muskwa ruszył na poszukiwanie żywności. Lubił delikatną trawę, nie zaspokajała jednak czczości. Raz i drugi spostrzegł, że Pipoonaskoos kopie miękką ziemię tuż nad wodą. Odegnął go od rozpoczętej jamy i zaczął sam grzebać dalej.

Po chwili wyciągnął biały korzeń, bulwiasty i miękki, i uznał zaraz, iż tak słodki i wspaniały kąsek trafia mu się po raz pierwszy w życiu. Nie dorównywało mu nawet mięso ryb. Był to istotnie ulubiony niedźwiedzi smakołyk — korzeń tak zwanej „urody wiosny”. (Tylko jeden przysmak mógł się z nim równać: psi ząb). Kwiat ten porastał zresztą obficie brzeg strumienia i Muskwa dalej kopał tak długo, aż zabolowały go łapki. Miał jednak tę satysfakcję, że zupełnie zaspokoił głód.

W tym dniu Tyr stał się przyczyną jeszcze jednej bitwy pomiędzy Pipoonaskoosem a Muskwa.

O zmierzchu oba dorosłe niedźwiedzie spoczywały wśród gęstwiny krzewów, gdy nagle Tyr bez widocznej racji szeroko rozwarł paszczę i zaczął ryczeć głośno i zajadle, zupełnie tak jak ryczał uśmiercając czarnego niedźwiedzia.

Iskwao, uniósłszy łeb, podchwyciła tę nutę.

Oboje byli zresztą w świetnych humorach i wielce zadowoleni. Nikt nie wie, dlaczego flirtujące niedźwiedzie urządzają ten straszliwy duet. One same jedynie mogłyby to ludziom wyjaśnić.

Koncert trwał około minuty i w ciągu tej minuty Muskwa, który leżał w pobliżu gąszczu kryjącego niedźwiedzią parę, pomyślał, że Tyr nareszcie rzuca bojowe wezwanie matce Pipoonaskoosa.

Nieszczęsny Pipoonaskoos wylazł właśnie spoza pobliskiego krzewu; Muskwa nie dał mu się nawet opamiętać. Runął do ataku niby furiat, a Pipoonaskoos potoczył się jak tłuste niemowlę. Przez kilka minut walczyli zębami i pazurami, przy czym Muskwa stale był górą, a Pipoonaskoos poświęcał cały czas i energię wrzaskom. Wreszcie większy niedźwiadek zdołał się podnieść i zaczął zmykać. Muskwa pędził go to w krzaki, to z krzaków, gnał tam i z powrotem przez strumień, zapędzał do pół wysokości stoku, a potem znów na dół, aż Pipoonaskoos tak się zmęczył, że musiał położyć się na brzuszku, aby odpocząć.

Wtedy wylazł z gęstwiny Tyr. Był sam. Po raz pierwszy od ubiegłego wieczoru zwrócił uwagę na Muskwę. Potem łowił nozdrzami wiatr węsząc w obie strony doliny. Wreszcie ruszył prosto ku dalekim zboczom, z których zstąpił wczoraj po południu.

Muskwa był jednocześnie wesoły i zakłopotany. Korciło go, aby przeniknąć w gęstwinę krzewów by odnaleźć trupa Iskwao, który musiał tam leżeć. Miał także wielką chętkę wytarosić raz jeszcze Pipoonaskoosa. Po chwili wahania dopędził Tyra i znów podreptał jego śladem.

Niebawem wynurzyła się z gąszczu Iskwao i zaczęła wciągać nozdrzami wiatr tak jak Tyr. Potem zwróciła się w przeciwnym kierunku. Tuż za nią postępował Pipoonaskoos. Weszła na zbocze i

kroczyła powoli, spokojnie ku tarczy zachodzącego słońca.

Tak się zakończył dzień miłości Tyra i dzień pierwszej walki Muskwy. Obaj ruszyli teraz znów na wschód, by stawić czoło najstraszliwшему z niebezpieczeństw, jakie kiedykolwiek groziło czworonożnym mieszkańcom gór, nieubłaganemu niebezpieczeństwu, przed którym nie było ucieczki i które niosło śmierć.

ROZDZIAŁ XIII

Pierwszej nocy po rozstaniu się z Iskwaо wielki grizli i mały niedźwiadek wcale nie spali. Błądzili w świetle gwiazd. Tyr nie polował na mięso. Wgramolił się na stromy skłon górski, przebył kamienne osypisko i wszedł do małej kotlinki ukrytej u stóp góry. Tam rozpościerała się zielona łączka porośla obficie psim zębem. Miał liście podobne do lilii, kiście kwiatów o pięciu płatkach i smakowity, bulwiasty korzeń. Tu przez całą noc Tyr kopał i jadł.

Muskwa, który napchał się poprzednio kłęczami „urody wiosny”, nie był głodny; wypoczął też w ciągu dnia, gdyż bójka z Pipoonaskoosem stanowiła jedyne jego zakłócenie. Toteż uznał tę noc pełną blasku gwiazd za bardzo przyjemną.

Około dziesiątej wzeszedł księżyc. Muskwa w swym krótkim życiu nie widział go jeszcze tak wielkiego, czerwonego i pięknego. Kiedy wtaczał się na szczyt, wydawało się, że to płoną lasy. Napełniał całe Góry Skaliste wspaniałym blaskiem. Kotlina, której dziesięć akrów pokrywała łączka, była skąpana w świetle tak jasnym jak światło dnia. U stóp zbocza łagodnie lśniło małe jezioro. Spod wiecznych śniegów, leżących o tysiąc stóp powyżej, spływał w połyskliwych kaskadach do jeziora strumyczek, który mienił się, jakby usiany diamentami. Wokół kotlinki rosły małe kępy krzewów; tu i ówdzie wystrzelał świerk lub jodła, jak gdyby posadzone dla dekoracji. Z jednej strony ciągnęła się wąska, okryta zielenią półka, która przez jedną trzecią mili pięła się w górę, a u szczytu jej, nie dostrzeżone przez Muskwę i Tyra, spało stado owiec.

Muskwa myszkował dokoła, obwąchiwał kępy krzaków i mroczne cienie drzew, zstąpił nawet nad brzeg jeziora, nie oddalając się jednak od Tyra. Znalazł skrawek miękkiego łu, który złagodził ból jego pokaleczonych łapek. W ciągu nocy niejednokrotnie powracał do tej błotnej wanny.

Wreszcie zapłonął świt; ale Tyr i teraz jeszcze nie śpieszył się z porzuceniem kotliny. Słońce już stało wysoko, a on nadal włóczył się po łące i nad brzegiem jeziora, wykopując tu i ówdzie korzenie i jedząc miękką trawę. Muskwa z wielką przyjemnością zjadł na śniadanie kłaczy psiego zęba. Intrygowało go jedynie, dlaczego Tyr nie łowi pstrągów w toni jeziora. Nie wiedział jeszcze, że nie wszędzie wody są rybne.

Wreszcie zdecydował sam iść na połów. Udało mu się złowić czarnego wodnego żuka zakutego w twardy pancerz. Ale żuk ostrymi jak igły szczypcami uszczypnął Muskwę w nasek, aż niedźwiadek wrzasnął.

Okolo dziesiątej pełna słońca kotlinka stała się dla niedźwiedzia w grubym futrze niby rozpalony piec. Tyr zaczął więc szperać wśród skał w pobliżu wodospadu. Tam znalazł zakątek tak chłodny jak staroświecka piwnica. Była to miniaturowa jaskinia. Jej ściany z łupku i piaskowca ociekały wilgocią i poczerniały od setki cienkich strużek wody z topniejących śniegów, która spływała ze szczytów. Grizli lubił niezmiernie takie zakątki w dnie lipcowe. Ale dla Muskwy było tu za ciemno, za ponuro i nawet w tysiącznej części nie tak przyjemnie jak na słońcu. Toteż po godzinie zostawił Tyra w jego chłodni i zaczął myszkować wśród zdradzieckich skalnych osypisk.

Na razie szło wszystko dobrze. Ale wkrótce niedźwiadek wgramolił się na pochyłą płytę łupku, po której zielonkawej powierzchni spływała cienka struga wody. Setki, może tysiące lat woda pieściła kamień usuwając zeń wszelkie szczyrby, aż stał się tak gładki jak oszlifowana perła i tak śliski jak słupek posmarowany tłuszczem.

Muskwa zjechał po nim tak błyskawicznie, że ani się opatrzył, jak zaczął się zsuwać ku widniejącej o sto stóp poniżej tafli jeziora. Staczał się koziółkując. Z pluskiem wpadał do małych sadzawek. Przelatywał nad miniaturowymi wodospadami jak piłka gumowa. Stracił dech, ośleplł i ogłuchł od wody i wstrząsów. Z każdym jardem nabierał coraz większej szybkości. W pierwszej chwili zdołał wydać parę pełnych przerażenia pisków i w ten sposób zwrócił na siebie uwagę Tyra.

Tam, gdzie woda ze szczytów wlewała się do jeziora, utworzyła spadający z wysokości dziesięciu stóp wodospad. Muskwa przeleciał nad nim z siłą, która wyrzuciła go dwa razy dalej, w środek jeziora. Uderzył w toń z wielkim pluskiem i znikł.

Pograżał się coraz to dalej i dalej w czarną, zimną i dławiącą głąb. Potem jednak podkład tłuszczu, z którego przyroda uczyniła mu pas ratunkowy, wyniósł go na powierzchnię. Wtedy Muskwa zaczął przebierać wszystkimi czterema łapkami. Po raz pierwszy pływał. Kiedy na koniec wygramolił się na brzeg, siły opuściły go zupełnie.

Gdy Tyr zszedł ze skał, niedźwiadek leżał na ziemi okropnie przerażony i z trudem chwycił powietrze. Kiedy Muskwa wbił sobie w łapkę kolec jeżozwierzca, matka jego dała mu dobrego klapsa. Powtarzała potem ten zabieg, ilekroć syn jej popełnił jakie głupstwo, bo uważała, że to dobre lekarstwo. Metoda kar cielesnych cieszy się u niedźwiedzi wielkim powodzeniem.

Po dzisiejszej przygodzie nie obeszloby się także bez bicia, ale Tyr obwąchał jedynie małego przyjaciela. Po czym, przekonany, że nie stało mu się nic złego, zaczął wygrzebywać z ziemi korzeń psiego zęba. Nie dokończył jeszcze uczy, gdy nagle przestał jeść. Dobrze pół minuty trwał nieruchomo jak posąg. Muskwa zerwał się otrząsnął i również wytężył słuch.

Oba niedźwiedzie złowiły jakiś dźwięk.

Powolnym i harmonijnym ruchem grizli stanął dęba. Patrząc na północ, nastawił uszy, a jego czułe nozdrza poruszały się. Nie czuł żadnej podejrzanej woni, ale dźwięk powtarzał się wciąż. Spoza zboczy górskich, które przebyli tej nocy, dochodził stały gwar. Grizli słyszał go po raz pierwszy w życiu.

Było to ujadanie psów!

Tyr przysiadł na zadzie i trwał tak długą chwilę. Był znów nieruchomy jak głaz, tylko nozdrza mu drgały. Do tej kotliny opasanej zewsząd górami nawet dźwięk nie mógł dotrzeć. Tyr szybko opuścił się na cztery łapy i zaczął się piąć na południowe zielone zbocze, u szczytu którego poprzedniej nocy spało stado owiec.

Niedźwiadek śpieszył za nim.

Przebywszy sto jardów skłonu Tyr przystanął i odwrócił się. Znów stanął dęba. Teraz Muskwa także zwrócił się ku północy.

Z nagłym powiewem wiatru wyraźnie doszło do ich uszu ujadanie. W odległości najwyżej pół mili sfora airedalów, wytresowana sfora Langdona, grała zajadle zwietrzywszy zwierzynę. Brzmienie psich głosów, pełne podniecenia, wieściło dwom myśliwym, dążącym o ćwierć mili za sforą, że zdobycz jest blisko.

A jeszcze bardziej niż Bruce'a i Langdona granie psów podniecało Tyra. Znów instynktownie wyczuł, że do jego świata wdarł się nowy wróg. Nie bał się. Ale instynkt doradzał mu odwrót. Tyr zaczął się więc ponownie piąć coraz wyżej, aż dotarł do linii skał, pełnej rumowisk i przepaści.

Tu przystanął po raz drugi. Tym razem czekał.

Jakąkolwiek postać miało niebezpieczeństwo, gnało za nim tak szybko, jakby je niósł wiatr. Słyszał, jak Zbliżało się zboczem wzgórz dzielących kotlinę od doliny. Garb tego zbocza leżał na poziomie wzroku Tyra. I oto nagle na szczycie garbu ukazał się czołowy pies niby czarna sylwetka na jasnym tle błękitu. Reszta sfory wynurzyła się tuż za nim i przystanęła na chwilę, zaglądając do kotliny i wciągając w nozdrza silną woń.

Tyr trwał również bez ruchu i patrzył na wrogów, a w głębi jego piersi powoli wzbierał niski, groźny grzmot. Grizli zaczął się cofać dopiero wówczas, gdy sfora runęła w dół, szczekając znów

zajadle. Nie uciekał jednak. Nie bał się. Ale nie szukał zwady. Nie zamierzał nawet bronić łączki i jeziora leżącego u podnóża góry. Miał inne łąki w swym państwie i dużo innych wód. Z natury nie był zamiłowany w walce, ale gotów był walczyć. Pomrukiwał złowróźnie i wzbierała w nim ponura wściekłość. Zagłębił się w chaos skalny; szedł dalej przesmykiem. Muskwa deptała mu po piętach.

Przebyli olbrzymie kamienne rumowisko i kluczyli wśród głazów tak wielkich jak domy. Często Tyr wybierał przejścia trudne do przebycia dla Muskwy. Raz, gdy wdarłszy się na wiszar skalny, dostrzegł, że niedźwiadek nie zdoła pójść jego śladem, zlął i wyszukał inną drogę.

Szczekanie psów płynęło teraz z głębi kotliny. Potem zaczęło szybko wznosić się w górę niby na skrzydłach. Tyr wiedział, że sfora pięła się teraz po zielonym stoku.

Grizli przystanął raz jeszcze, a tym razem wiatr rzucił mu w nozdrza ciepły i gęsty kłęb woni. Sprężył się i zebrał w sobie pod jej wpływem; oczy zapłonęły mu jak żużle. Do woni psów bowiem przyłączyła się woń ludzka!

Ruszył przed siebie jeszcze spieszniej. Wydawało się, że gwałtowne i wesole szczekanie było zaledwie o sto jardów poza nim, gdy wkroczył na małą arenę wśród skalistych zwalisk. Od strony gór stała prostopadła ściana; z drugiej strony platforma urywała się nagle nad pionową przepaścią. W głębi olbrzymie złomy opadłe ze szczytu góry zamykały przejście; środkiem biegł jedynie przesmyk tak wąski, że barki Tyra mogłyby się weń z trudem wtłoczyć.

Wielki grizli doprowadził Muskwę do tego przesmyku i obrócił się nagle, zasłaniając go własnym cielskiem. Wobec niebezpieczeństwa, które spadało im niemal na karki, niedźwiedzica na jego miejscu ukryłaby swe małe w głębi skalnej szczeliny. Tyr postąpił inaczej. Stawił czoło nadchodzącemu niebezpieczeństwu.

O dwadzieścia stóp dalej ścieżka, którą tu przybył, skręcała nagle wokół skalnej baszty. Krwią nabiegłymi, straszliwymi oczyma Tyr obserwował zastawioną przez siebie pułapkę.

Sfora grała pełną piersią. O pięćdziesiąt jardów od baszty gnała zwartą masą. Jeszcze chwila i pierwsze airedale wpadły na obronę przez Tyra arenę walki, choć usiłowały zatrzymać się w porę.

Tyr z rykiem skoczył pomiędzy napastników. Muskwie się zdawało, że grizli szerokim ruchem okropnej prawicy wgniótł pod swe olbrzymie cielsko połową sfory. Zmiażdżył grzbiet napastnika, który najdalej się zapędził, jednym chrupnięciem szczęk. Drugiemu oddzielił od tułowia łeb. Ruszył naprzód i zanim inne psy zdołały otrząsnąć się z paniki, zadał jednemu z nich cios, który zrzucił go w przepaść na skały o sto stóp poniżej.

Od chwili rozpoczęcia walki minęło zaledwie pół minuty i w ciągu tego czasu dziewięć pozostałych psów rozproszyło się. Lecz psy Langdona były odważne. Pochodziły wszystkie z wojowniczych rodów. Bruce i Metoosin wyćwiczyli je tak, że gdy się je wieszało za uszy, nie wydawały nawet jęku. Tragiczny los pierwszej trójki przeraził je nie więcej, niż ich pogoń przeraziła Tyra.

Szybkie jak błyskawica, otoczyły go ze wszystkich stron. Wsparte na rozstawionych przednich łapach, gotowe były dla uniknięcia nagłej napaści rzucić się w tył lub w bok. Ujadały urywanie, zajadle, wieszcząc myśliwym, że zwierzyna jest osaczona. Spełniały swe zadanie. Zadaniem ich było dręczyć, nużyć, opóźniać ucieczkę, jak najdłużej zatrzymywać. Walka psów z niedźwiedziem jest uczciwa i podniecająca. Dopiero człowiek, kładąc jej kres z bronią w rękę, popełnia mord.

Psy miały swoją strategię; Tyr swoją. Parokrotnie próbował ich dosięgnąć, ale one, zwinniejsze, umykały mu. Wówczas powoli zaczął się cofać w kierunku olbrzymiej skały, za którą był ukryty Muskwa. Psy nacierały.

Wściekłe ujadanie sfory, widoczna niezdolność Tyra do odpędzenia jej czy rozszarpania przeraziły Muskwę. Niedźwiadek nagle rzucił się wstecz i wskoczył do szpary pośród głazów, która się otwierała za nim.

Tyr cofał się póty, póki nie wparł się potężnym zadem w skałę. Wówczas szybko obrócił łeb i wzrokiem poszukał Muskwy. Niedźwiadek znikł. Tyr dwukrotnie jeszcze się obejrzał. Zobaczywszy, że Muskwy nie ma, zaczął się ponownie cofać, aż zablokował wąski przesmyk, jedyną drogę, jaka dlań pozostała wolna.

Psy ujadały teraz jak wściekłe. Z pysków leciały im płaty piany; twarda sierść jeżyła się na karkach ściągnięte wargi ukazywały kły aż po czerwone dziąsła. Psy zbliżały się coraz bardziej. Drwiły w żywe oczy z nieruchliwej potęgi straszliwego cielska. Zachęcały do podjazdowej walki. W szale bitewnym pozostawiły pomiędzy sobą a otwartą ścieżką dziesięciojardową pustą przestrzeń. Tyr zmierzył ją wzrokiem, tak jak mierzył przed paroma dniami odległość dzielącą go od młodego karibu. I milcząc runął na wrogów tak nagle, że psy zaczęły umykać w obawie o życie. Tyr nie zatrzymał się. Parł naprzód.

Obok skalnej baszty ścieżka miała zaledwie pięć stóp szerokości i to także wchodziło w rachubę Tyra. Ostatniego psa schwytał. Zgniół go łapą, a pies konając wydał przeraźliwe wrzaski bólu, które obły się o uszy Bruce'a i Langdona.

Obaj myśliwi, zziajani, bez tchu, pieli się już po zboczu, które wznosiło się nad kotliną.

Tyr legł na brzuchu pośród wąskiej ścieżki i kiedy psy raz jeszcze poczęły ujadać, rwał w strzepy swoją zdobycz, aż skałę splamiła krew, sierść i wnętrzności. Wstał wreszcie i znów rozejrzał się szukając Muskwy. Niedźwiadek, zwinięty w drżący kłębek, kulił się na dnie szczeliny. Może Tyr pomyślał, że jego pupil ruszył w górę, pośpiesznie opuszczając teren placu boju. Wiatr niósł mu coraz silniejszą woń człowieka, gdyż Bruce i Langdon pocili się.

W ciągu następnych dziesięciu minut Tyr jakby nie zważał na osiem psów obszczekujących go z dołu. Czasem tylko przystawał i kołysał z lekka łbem. Dalej się cofał, sfora natomiast następowała coraz zajadlej. Wreszcie jeden z airedalów skoczył wyprzedzając towarzyszy i wbił kły w łapę Tyra. To wywarło skutek, jakiego nie zdołało wywołać szczekanie. Grizli ryknął, zawrócił i pognał sforę o pięćdziesiąt jardów w dół. Stracił na tej gonitwie pięć cennych minut, nim ponownie zaczął się pięć ku szczytowi.

Psy odniosłyby zwycięstwo, gdyby wiatr przybrał inny kierunek. Ilekroć jednak Langdon i Bruce posuwali się naprzód, wiatr ostrzegał Tyra przynosząc mu ciepłą woń ich ciał. A grizli starał się mieć go z właściwej strony. Mógłby łatwiej i prędzej dotrzeć na szczyt, gdyby szedł okrężną ścieżką. Ale wówczas straciłby wiatr. Dopóki mógł go łowić, był bezpieczny, chyba żeby myśliwi spróbowali pokrzyżować jego plan ucieczki, zatoczyć półkole i zająć mu drogę.

Grizli stracił pół godziny czasu, nim osiągnął najwyższe garby skalne. Aby przebyć ostatnie paręset jardów, które dzieliły go od szczytowej grani, musiał teraz wystąpić z ukrycia i ujawnić się na skalnej pochyłości. Wychynawszy spoza skalnego garbu, rozwinął nagle taką szybkość, że psy pozostały o trzydzieści do czterdziestu jardów w tyle. Przez parę minut jego cielsko wyraźnie odcinało się na tle skały. Potem Tyr wskoczył na śnieżny dywan nieskalanej bieli, gdzie nie było ani krzaka, ani głazu, za którymi mógłby się ukryć przed oczyma śledzącymi go z dołu, i ostro zarysował się czarną sylwetką.

Bruce i Langdon dostrzegli go i z odległości, pięciuset jardów rozpoczęli ogień.

Tyr usłyszał tuż ponad głową dziwny, tnący, jękliwy świst pierwszej kuli, a w sekundę potem rozległ się huk wystrzału. Druga kula trafiła w śnieg o pięć jardów przed niedźwiedziem i wyrzuciła w górę białą fontannę. Grizli uskoczył gwałtownie w prawo; myśliwi widzieli go teraz nie z tyłu, lecz z boku. Tyr usłyszał trzeci strzał — i to było wszystko. Uczuł straszliwy cios w czaszkę, nieco poniżej prawego ucha. Miał uczucie, jak gdyby maczuga spadła nań z nieba. Osunął się na ziemię jak kłoda.

Była to powierzchowna rana i prawie nie krwawiła. Ale na chwilę kula tak ogłuszyła Tyra, jak człowieka ogłusza cios pod brodę. Zanim zdołał się podnieść, psy opadły go i zaczęły szarpać za gardło, za kark, wszędzie. Tyr rycząc porwał się i otrząsnął z napastników. Walczył wściekle. Bruce i Langdon słyszeli jego ryk, gdy z palcem na cynglu czekali, aby psy odsunęły się na tyle, by mogli dać ostatnie strzały. Tyr cofał się jard za jardem, wyszczerzonymi kłami trzymając na wodzy zajadłą sforę, i ryczał. Rzucał wyzwanie woni człowieka, dziwnemu grzmotowi, palącej błyskawicy — nawet samej śmierci.

O pięćset jardów poniżej Langdon kłął siarczyście, gdyż airedale wciąż jeszcze trzymały się tak blisko niedźwiedzia, że nie mógł strzelać. I aż do samej linii nieba spragniona krwi sfora była dla Tyra puklerzem. Znikł wreszcie za szczytem góry. Psy poszły za nim.

Ujadanie ich, zrazu głośnie, cichło w przestrzeni, a wielki grizli szybko odciągał je od niebezpieczeństwa, jakie niósł z sobą człowiek, i wiódł na podniecający wyścig, z którego niewiele psów miało wrócić.

ROZDZIAŁ XIV

Muskwa ze swej kryjówki słyszał ostatnie odgłosy walki na skalnej arenie. Szczelina, w której się schronił, miała kształt klina; niedźwiadek wgramolił się w najdalszy jej zakątek. Widział, jak Tyr opuszcza teren boju po zamordowaniu czwartego psa.

Słyszał szczęk jego pazurów, gdy grizli cofał się. Wreszcie zrozumiał, że Tyr odszedł, a wróg ruszył jego śladem.

Ale Muskwa nie wychodził z ukrycia: bał się. Zgraja przybyłych z doliny nieznanymi zwierzętami napędzała go śmiertelnym lękiem. Nie obawiał się Pipoonaskoosa. Nawet czarny niedźwiadek, zabity przez Tyra, nie przerażał go tak jak ta sfora o szkarłatnych wargach i białych kłach.

Kulił się więc w głębi szczeliny, wypełniając najdalszy jej zakątek, jak ładunek wypełnia lufę strzelby.

Ujadanie psów zamierało już w oddali, gdy uderzyły go nowe, bliższe dźwięki. Langdon i Bruce mijali właśnie pędem skalną basztę. Na widok martwych psów przystanęli obaj, a Langdon wydał okrzyk zgrozy.

Znajdowali się teraz zaledwie o dwadzieścia stóp od Muskwy.

Niedźwiadek po raz pierwszy usłyszał ludzkie głosy, po raz pierwszy woń ludzkiego potu napędzała mu nozdrza wywołując nowe przerażenie, aż zabrakło mu tchu w płucach. Potem jeden z myśliwych stanął tuż przed szczeliną, w której schował się Muskwa, i niedźwiadek po raz pierwszy zobaczył człowieka. W chwilę później obaj mężczyźni znikli.

Teraz Muskwa usłyszał strzały. Potem ujadanie psów coraz bardziej się oddalało, aż wreszcie zamarło. Dochodziła trzecia — godzina odpoczynku przyrody górskiej. Nic nie mąciło jej spokoju.

Muskwa długi czas trwał w bezruchu. Nasłuchiwał. Nie słyszał nic. Zbudził się w nim teraz nowy lęk: bał się, że utraci Tyra. Całym sercem zapragnął powrotu wielkiego grizli. Godzinę jeszcze przesiedział wtulony w rozpadlinę. Potem usłyszał cichy szelest i mały, pręgowany skoczek wybiegł

na arenę skalną. Zwierzątko znalazło się w promieniu jego wzroku; widział więc, jak szpera i węszy wokół trupa jednego z psów.

Muskwa nabrał otuchy. Uniósł nieco uszka i pisnął cicho, jak gdyby błagał małe stworzonko, które znalazło się przy nim w tej strasznej godzinie osamotnienia i trwogi, o zwrócenie nań uwagi i przyjaźni. Cał za całem wyczołgał się z kryjówki. Wreszcie wysadził krągły, kudłaty łebek poza obręb gładów i spojrzął wkoło. Nie zobaczył nic strasznego, podreptał więc w stronę skoczka. Ale przegowane zwierzątko umknęło do własnej fortecy wydając ostry skrzek. Muskwa był znowu sam.

Wahał się czas dłuższy, chłonąc powietrze nasycone wonią krwi, wonią ludzi i Tyra. Potem zaczął się pięć na zbocze.

Wiedział, że Tyr ruszył w tym kierunku. I jeżeli mały Muskwa miał umysł i serce, przepelniało je teraz tylko jedno pragnienie: pragnął odnaleźć swego wielkiego druha i obrońcę. Tęsknota za Tyrem przesłaniała nawet lęk przed psami i ludźmi, potęgami do tego dnia nie znanymi w jego życiu.

Niedźwiadek nie potrzebował wcale pomocy wzroku, by dążyć śladem grizli. Węchem kierował się po świeżym tropie i zygzakiem zaczął się wdzierać pod górę tak szybko, jak tylko potrafił. Przychodziło mu to nieraz z wielką trudnością, gdyż miał zbyt krótkie łapki; nie tracił jednak animuszu i pełen nadziei gramolił się odważnie, podniecany świeżą wonią Tyra.

Zużył dobrą godzinę, aby dotrzeć do skraju nagiej skały, która sięgała aż po pas śniegów i linię nieba. Dochodziła czwarta, gdy zaczął się pięć na owe ostatnie trzysta jardów dzielące go od szczytu. Pewien był, że tam w górze odnajdzie Tyra; ale lęk targał nim wciąż jeszcze, toteż dzielnie czepiając się pazurkami kamienia popiskiwał cicho.

Odkąd zaczął się wspinać, nie spojrzął już w górę na szczytową grań. Przy tak stromej pochyłości musiałby chyba stanąć bokiem. Toteż gdy znalazł się wpół drogi, nie dostrzegł Bruce'a i Langdona wychodzących spoza górskiego grzbietu. Nie zwęszył ich także, gdyż wiatr sprzyjał myśliwym. Nieświadom obecności ludzkiej, dotarł do pasma śniegów. Radośnie obwąchał tu odciski olbrzymich łap i podreptał ich szlakiem.

A powyżej obaj myśliwi czekali przykucnąwszy w śniegu i odłożywszy na bok karabiny. Zdjęli poprzednio grube flanelowe koszule i trzymali je w pogotowiu. Gdy Muskwa zbliżył się na kilkanaście jardów, runęli nań z góry jak lawina.

Muskwa oprzytomniał dopiero wtedy, gdy Bruce już się na niego zamierzał. Zobaczył i zrozumiał niebezpieczeństwo w ostatnim mgnieniu ostatniej sekundy; i kiedy przewodnik rzucał się rozpostarłszy koszulę jak sieć, niedźwiadek uskoczył w bok.

Padłszy na twarz, Bruce zgarnął pełną koszulę śniegu i tulił ją do piersi sądząc przez chwilę, że złapał niedźwiadka. W tej samej chwili Langdon zawadził o długie nogi towarzysza i Bruce potoczył się w dół po śniegu koziółkując.

Muskwa tymczasem gnał z boczem ku dolinie co sił w krótkich łapkach. Bruce pędził tuż za nim; Langdon, zdystansowany o dziesięć stóp, śpieszył w ich ślady.

Wtem Muskwa nagle skręcił, a Bruce z rozpędu zrobił jeszcze trzydzieści do czterdziestu stóp w dół. Nie mogąc się zatrzymać złożył się jak scyzoryk i wparł palcami nóg, dłońmi, łokciami, a nawet ramionami w piaskowcową skałę. Langdon zdołał zawrócić i doganiał Muskwę. W pewnej chwili skoczył naprzód, rozpostarłszy koszulę, ale niedźwiadek dał susa w bok i gdy Langdon zerwał się z ziemi, miał podrapaną do krwi twarz, a usta pełne kurzu i żwiru.

Niestety nowy skręt Muskwy był mniej fortunny, gdyż niedźwiadek wpadł prosto pod nogi Bruce'a. Zanim zdołał znów uskoczyć, zdławił go nagły mrok, a ogłuszający tryumfalny wrzask zabrzmiał tuż nad jego uchem.

— Mam go! — ryczał Bruce.

Muskwa we wnętrzu koszuli drapał, gryzł i warczał. Bruce był w wielkim kłopotcie, kiedy nadbiegł Langdon z drugą koszulą. Po upływie paru minut Muskwa był zawinięty jak indiańskie niemowlę. Łapki i całe ciało obwiązano mu tak mocno, że nie mógł się poruszyć. Tylko łebek miał wolny i mógł nim kręcić. Była to jedyna jego część widoczna. Łebek Muskwy był tak okrągły, przerażony i zabawny, że przez minutą Bruce i Langdon, zapominając o niepowodzeniu i stratach, pokładali się ze śmiechu. Siedli potem po obu stronach niedźwiadka i nabili fajki tytoniem. Później zapalili je. Muskwa nie mógł nawet poruszyć łapką na znak protestu.

— Ładni z nas myśliwi! — rzekł Langdon. — Mieliśmy upolować starego grizli, a wracamy do obozu z tą kruszynką!

Spojrzał na niedźwiadka. Ale Muskwa patrzył nań tak poważnie, że Langdon zdumiał się; po chwili milczenia wyjął powoli fajkę z ust i wyciągnął rękę.

— Maleńki... malutki misiu... — zaczął pieszczotliwie.

Muskwa nastawił uszka. Błyszczące ślepka lśniły jak szklane.

Bruce uśmiechał się do siebie wyczekująco.

— Miś nie ugryzie... nie, nie... Maleńki... dobry... Nie skrzywdzimy misia...

Ostry krzyk zbudził naraz echa górskie. Muskwa wbił ząbki jak szpileczki w palec Langdona. Wybuchy śmiechu Bruce'a mogły spłoszyć zwierzynę w obrębie mili.

— Ach, ty kanalio! — mruknął Langdon. Po czym wysysając krew z ranki zaczął się śmiać również.

— Odważny malec, prawda, Bruce? Nazwiemy go Złośnik. Do licha! marzę o takim niedźwiadku,

odkąd jestem w górach. Zabiorę go z sobą. Patrz, co za miły pyszczek.

Muskwa poruszył właśnie łebkiem, jedyną nie skrępowaną częścią ciała usztywnionego jak mumia, chcąc lepiej dojrzeć Bruce'a.

Langdon wstał i obejrzał się w stronę horyzontu. Twarz mu zmierzania, a pomiędzy brwiami legła ponura zmarszczka.

— Cztery psy! — odezwał się, jak gdyby mówił sam do siebie. — Trzy na dole, a jeden tam, na górze.

Milczał chwilą, aż zwrócił się do przewodnika:

— Nie rozumiem tego, Bruce. Ta sama sfora osaczała już pięćdziesiąt niedźwiedzi i do dziś dnia nigdy żaden pies nie zginął.

Bruce opasywał Muskwę rzemieniem z jeleniej skóry, tworząc w ten sposób pałąk, za który mógł go nieść niby wiadro wody lub poćać boczkę. Skończywszy tę robotę wstał, a Muskwa zakołysał się w powietrzu.

— Bo tym razem mieliśmy do czynienia z mięsożernym — rzekł. — A mięsożerny grizli staje się najgroźniejszym ze wszystkich zwierząt, kiedy przyjdzie do walki lub polowania. Psy nigdy nie potrafią go osadzić! I jeśli wkrótce nie zapadnie zmierzch, ani jeden do nas nie powróci. Jak się ściemni, zaprzestaną pogoni. Te, oczywiście, które przeżyją walkę! A grizli zwęszył nas i może się założyć, że dobrze wie, kto go rozciągnął na śniegu. Wędruje, i to wędruje szybko. Będziemy musieli przebyć dobre dwadzieścia mil, żeby go odnaleźć.

Langdon poszedł po karabiny. Gdy wrócił, obaj myśliwi zaczęli zstępować w dół.

Bruce szedł przodem, niosąc Muskwę na rzemieniu. Przystanęli na powalanej krwią arenie skalnej, gdzie Tyr wywarł zemstę na swych prześladowcach. Langdon pochylił się nad psem z urwaną głową.

— To Suchar! — rzekł. — A myśmy myśleli zawsze, że jest on jedynym tchórzem w całej sforze. Te dwa to Jane i Tober. Trzy najlepsze psy i stary Fritz, co leży na szczycie.

Bruce pochylił się właśnie nad przepaścią i wskazał ręką jej głąb:

— Tam na tle góry... tam jest jeszcze jeden — wykrztusił. — To piąty!

Langdon spojrział i zacisnął pięści. Coś niby krótki szloch wyrwało mu się z piersi.

Bruce zrozumiał. Na rozszarpanej piersi leżącego o sto stóp poniżej widniała czarna łata. Spośród całej sfory jeden tylko airedale, ulubieniec Langdona, miał czarno znaczone futro.

— To Dixi — szepnął Langdon. Po raz pierwszy ogarnęła go wściekłość. Z bladą twarzą wrócił

na ścieżkę.

— Mam jeszcze jeden powód, żeby zedrzeć skórę z tego grizli! Wiesz, Bruce, dzikie konie nie wyciągną mnie teraz z tych gór, dopóki go nie zabiję. Zostanę tu choćby do zimy. Jeżeli nie umknie, zabiję go. Klnę się na wszystko!

— Tego nie robi — przerwał krótko Bruce.

Ruszył w drogę pierwszy, niosąc Muskwę. Jak dotąd, niedźwiadek był zbyt ogłuszony, aby obmyślać plany buntu. Sytuacja wydawała mu się zupełnie beznadziejna. Napręzał wszystkie mięśnie, ale nie mógł poruszyć nawet końcem łapki. Był obwiązany tak szczelnie jak mumia Ramzesa.

Teraz jednak powoli zaświtało mu, że może się przecie posługiwać zębami. Wahadłowy ruch, który mu nadawał chód człowieka, zbliżał go raz po raz do jego nogi. Od tej chwili Muskwa czekał już tylko okazji.

Znalazł ją, gdy Bruce robił długi krok zstępując ze skały. Przez ułamek sekundy ciało Muskwy legło na tej samej skale. Szybki jak błyskawica, ugryzł. Ząbki jego wpiły się głęboko; i jeśli przed chwilą krzyk Langdona rozległ się o milę, to wrzask Bruce'a sięgał bez wątpienia znacznie dalej.

Muskwa po raz pierwszy usłyszał tak okropny, mrozący krew w żyłach odgłos. Nawet ujadanie psów nie przeraziło go do tego stopnia. Ze strachu natychmiast rozluźnił chwyt. Zdumienie jego zresztą nie miało również granic: dziwaczne, dwunogie istoty nie pomyślały nawet o zemście. Ten, którego ugryzł, przez jaką minutę bez żadnego sensu skakał na jednej nodze. Drugi, siedząc na skale, kołysał się to w tył, to w przód z rękoma opartymi na brzuchu i szeroko rozwartymi ustami wydawał niepojęty, piskliwy dźwięk. Pierwszy przestał wkrótce skakać i zaczął także wydawać ten sam dziwaczny odgłos.

Muskwa nie wiedział, że ludzie się śmieją; natomiast uderzyło go, że jedno z dwojga musi być prawdą: albo te śmieszne potwory boją się z nim walczyć, albo są bardzo dobroduszne i nie mają zamiaru go krzywdzić.

Bruce i Langdon natomiast stali się ostrożniejsi. Znalazłszy się w dolinie, wsunęli karabin pod skórzany pałąk i ponieśli niedźwiadka między sobą.

Zapadł już niemal zupełny mrok, gdy doszli do kępy jodeł czerwonych od blasku ogniska. Muskwa po raz pierwszy w życiu widział ogień. Zobaczył również pierwsze w życiu konie i uznał, że są to straszliwe stworzenia, dużo większe od Tyra.

Na spotkanie myśliwym wyszedł trzeci człowiek, Indianin Metoosin. W jego ręce oddano Muskwę.

Niedźwiadka położono na ziemi, na boku, i podczas kiedy ogień raził go w ślepki, jeden z myśliwych ujął go za uszy tak mocno, że aż bolało, a drugi spiął mu na szyi pas rzemienny jako

obrożę. Przez kółko tej obroży przeciągnięto gruby sznur, a koniec sznura obwiązano wokół drzewa. W trakcie tej operacji Muskwa warczał i kłapał zębami jak wściekły.

Uwolniono go zresztą wkrótce z koszul. Z trudem stał na chwiejnych łapach, na których chwilowo nie mógłby uciekać, i warczał ukazując drobne kły.

Ku niezmiernemu jego zdumieniu nie wywarło to wrażenia na jego dziwnych towarzyszach. Natomiast cała trójka — nie wyłączając Indianina — otwarłszy szeroko usta wydała ów głośny, dziwaczny dźwięk, który niedźwiadek usłyszał po raz pierwszy wówczas, gdy ugryzł w nogę jednego z nich na zboczu. Wszystko to ogromnie zdumiewało Muskwę.

ROZDZIAŁ XV

Ku wielkiej radości Muskwy ludzie opuścili go wkrótce i zaczęli krzątać się przy ognisku. To stworzyło mu okazję do ucieczki; zaczął więc szarpać i targać sznur, aż się prawie dusił. Wreszcie, zrozpaczony, zaprzestał próżnych wysiłków, legł zwinięty w kłębek u podnóża sosny i śledził obóz.

Ogień płonął w odległości zaledwie trzydziestu stóp. Bruce mył ręce w płóciennej misie. Langdon wycierał twarz ręcznikiem. Metoosin klęcząc trzymał nad zarzewiem dużą czarną patelnię, na której skwierczały i pryskały tłuszczem kotlety z mięsa karibu, a dokoła rozchodziła się i docierała nawet do Muskwy najmiłsza woń, jaką czuł kiedykolwiek w życiu. I w ogóle powietrze wokół obozu przesiąkło dziesiątkiem miłych aromatów.

Langdon wytarłszy twarz otworzył puszkę słodkiego, zgęszczonego mleka. Potem wylał na miskę biały płyn i zbliżył się do Muskwy.

Niedźwiadek przekonał się już, że ucieczka po ziemi nie ma żadnych szans powodzenia, zaczął się więc piąć na drzewo. Czynił to teraz tak szybko, że Langdon zdumiał się.

Kiedy Langdon ustawiał miskę w ten sposób, że Muskwa byłby do niej wpadł, gdyby się spuścił z drzewa, niedźwiadek parsknął i pluł. Pozostał tak czas dłuższy, uczepiony między niebem a ziemią. Myśliwi nie zwracali nań żadnej uwagi. Widział, jak jedli, i słyszał, jak rozmawiali o nowym planie łowów na Tyra.

— Teraz możemy go tylko podejść fortem! — mówił Bruce. — Po tym, co dzisiaj zaszło, nie ma

już sensu biec jego tropem. Zwietrzy nas w porę i umknie, choćbyśmy tu siedzieli do zimy!

Urwał na chwilę i nasłuchiwał.

— Dziwne, że psy nie wracają — rzekł wreszcie. — Myślę, czy przypadkiem... Spojrzał na Langdona.

— To nie może być! — wykrzyknął Langdon zrozumiawszy jego myśl. — Czyż ty naprawdę sądzisz, że niedźwiedź wymordował całą sforę?!

— Polowałem na niejednego grizli — odparł spokojnie przewodnik — ale nie zdarzyło mi się napotkać sprytniejszej bestii. Przecież na tej arenie skalnej zwabił psy w pułapkę! Na szczycie rozszarpał Fritza podstępem! Więc mógł równie dobrze wciągnąć resztę sfory w jaki ślepy wąwóz i tam...

Znacząco wzruszył ramionami. Langdon znów nasłuchiwał.

— Jeśli do zmroku nie wszystkie zginęły — rzekł wreszcie — to lada chwila powinny nadbiec. Żałuję teraz, tak, doprawdy żałuję, że nie zostawiliśmy sfory w domu!

Bruce roześmiał się gorzko.

— Wojna, Jimmy! W sforze, która chodzi na niedźwiedzia, prędzej czy później któreś psy muszą zginąć. Przeciwnik okazał się tym razem silniejszy od nas. Zwyciężył nas, oto wszystko!

— Zwyciężył?

— Oczywiście! I to w walce uczciwej. Prawdę mówiąc, źle zrobiliśmy, że w ogóle braliśmy psy. Jeśli ci zresztą bardzo chodzi o tego olbrzyma, byłby może pewien sposób...

Langdon skinął głową,

— Jaki?

— Trzeba zerwać ze szlachetnymi zasadami, kiedy się chce polować na grizli, a zwłaszcza na grizli mięsożernego. Możesz być pewien, że nasz przeciwnik będzie nadal dobrze strzegł kierunku wiatru i zwęszy nas w porę. Jak? Będzie krążył. Ręczę, że gdyby śnieg już leżał, mogliśmy spostrzec, że się raz po raz cofa własnym śladem. W ten sposób poczuje zawsze tego, kto będzie szedł za nim. I w ogóle odbywać będzie pochody jedynie nocą. Dni spędzi leżąc na gołych szczytach skał. Jeśli ci bardzo zależy na dalszych łowach, to widzę tylko dwa wyjścia. A lepsze z dwojga — to dać spokój temu grizli i poszukać innych niedźwiedzi!

— Stanowczo nie! Poradź lepiej, jak mam dostać właśnie tego.

Bruce chwilę milczał, zanim wreszcie dał odpowiedź:

— Znamy dokładnie granice jego państwa. Zaczyna się ono na pierwszej przełęczy, którą przekroczyliśmy, a kończy u wejścia do tej doliny. Jest to obszar wynoszący około dwudziestu pięciu mil kwadratowych, nie sięga bowiem poza zachodni łańcuch tych gór ani poza wschodnie zbocza tamtych. Dopóki nie opuścimy tych stron, niedźwiedź bez wątpienia będzie zataczał koła. Teraz idzie na południe po tamtych stokach. Na razie trzeba spokojnie siedzieć na miejscu przez dwa lub trzy dni. Potem puścimy Metoosina ze sforą, jeśli sfora jeszcze będzie, przez tamtą dolinę, a sami jednocześnie ruszymy tą doliną, ku południowi. Jeden pójdzie dołem, drugi w połowie zboczy, powolutku. Rozumiesz? Grizli nie porzuci swego państwa, a Metoosin z pewnością go przygna w naszym kierunku. Damy mu zacząć polowanie, a sami się zaczaimy. Jestem pewien, że przynajmniej jeden z nas będzie mógł postać mu kulę.

Langdon kiwnął głową.

— Zgoda! — rzekł. — Zresztą boli mnie kolano i rad jestem, że będę mógł wypocząć te parę dni.

Zaledwie skończył mówić, gdy nagle rozległ się brzęk łańcucha i jeden z uwiązanych, pasących się koni parsknął trwożnie. Obaj myśliwi zerwali się na równe nogi.

— Utim! — wyszeptał Metoosin. Na ciemną jego twarz padał blask ognia.

— Tak, to psy! — poświadczył Bruce i gwizdnął cicho.

W poszyciu leśnym usłyszeli ruch i dwa psy ukazały się w kręgu świetlnym. Posuwały się wolno, niemal pełznąc na brzuchach, aż przypadły kornie do nóg myśliwych. W chwilę potem dwa airedale wychyły z gąszczu.

Trudno w nich było poznać te zwierzęta, które rankiem ruszały na łowy. Boki miały zapadłe, a sierść leżała im płasko na wychudłym grzbiecie. Były zgonione i miały poczucie doznanej klęski.

Cała ich buta prysła i wyglądały jak zbite kundły. Jeszcze jeden pies wylazł z mroku. Utykał i włócił poszarpaną łapę. Z pozostałych jeden miał zakrwawioną głowę, drugi podgardle. Wszystkie leżały na brzuchach, jak gdyby spodziewały się kary.

„Przegraliśmy — mówiła ich postawa. — Zwyciężono nas! Oto co zostało z całej dzielnej sfory!”

Bruce i Langdon patrzyli na nie milcząc. Nasłuchiwali — czekali. Więcej psów się nie zjawilo. Spojrzeli sobie w oczy.

— Więc jeszcze dwa! — powiedział Langdon.

Bruce poszedł do stosu koszy i namiotów przynieść smycze.

Muskwa dygotał cały na drzewie. W odległości zaledwie paru jardów znów zobaczył zgraję o białych kłach, która wyгнаła Tyra i zapędziła jego samego do szczeliny skalnej. Ludzi obawiał się już w znacznie mniejszym stopniu. Nie zrobili mu nic złego. Przestał drzeć i warczeć, ilekroć któryś z nich koło niego przechodził. Ale psy przerażały go niezmiernie. Wydały bitwę Tyrowi i Tyr musiał ją przegrać, skoro nie wrócił!

Drzewo, do którego myśliwi przywiązali Muskwę było to młode drzewko, toteż niedźwiadek kulił się w rozwidleniu konarów o pięć stóp od ziemi, gdy tuż pod drzewem przechodził Metoosin wiodąc na lince psa. Pies dojrzał ciemny kształt i skoczył wydzierając smycz z rąk Indianina.

W rozpędzie omal nie dosięgnął Muskwy. Miał skoczyć po raz drugi, gdy Langdon z groźnym krzykiem rzucił się i porwał go za obrozę. Końcem smyczy zdzielił psa przez grzbiet raz i drugi, po czym odprowadził go.

Muskwa był bezgranicznie zdumiony. Człowiek go ocalił! Zbił potworne zwierzę o krwawej paszczy i białych kłach. Uwiązał daleko całą tę straszną zgraję.

Wracając Langdon przystanął obok drzewa i zaczął przemawiać do Muskwy. Niedźwiadek pozwolił mu zbliżyć rękę do swej mordki nie próbując gryźć. Później nieco, gdy miał lekko w bok zwrócony łebek, Langdon odważnie położył dłoń na jego kosmatym grzbiecie. Muskwa drgnął ze strachu, ale dotknięcie nie sprawiło mu bólu. Nawet dotknięcie matczynej łapy nie było nigdy tak delikatne.

Langdon pogładził jeszcze kilka razy ciemne futerko Muskwy. Niedźwiadek z początku wyszczerzał lśniącą ząbki, ale nie warczał. Stopniowo przestał nawet pokazywać ząbki.

Potem Langdon odszedł na chwilę i wrócił niosąc kawał surowego mięsa karibu. Podsunął go niedźwiadkowi pod nos. Muskwa obwąchał skrwawiony płat i odwrócił się. Wreszcie Langdon położył mięso u stóp drzewa obok miski ze zgęszczonym mlekiem i wrócił do ogniska.

— Za dwa dni będzie jadł mi z ręki— rzekł do palącego fajkę Bruce'a.

Wkrótce obozowisko ucichło.

Langdon, Bruce i Metoosin owinawszy się w koce usnęli niebawem snem sprawiedliwych. Ogień dogasał. Wreszcie tylko jedna gruba, smolna szczapa siała blask. W gęstwinie zahukała sowa. Pomruk wód doliny i gór szemrał w cichym powietrzu. Gwiazdy lśniły coraz jaśniej. Z daleka doleciał do Muskwy łoskot głazu toczącego się z góry. Wkoło było teraz spokojnie i bezpiecznie; wszystko spało prócz Muskwy.

Bardzo ostrożnie niedźwiadek zaczął się spuszczać z drzewa. Dotarł do ziemi i puścił pień. Omal nie wpadł do miski ze skondensowanym mlekiem i parę kropel bryznęło mu na pyszczyk. Bezwiednie wyciągnął języczek i oblizał się. Uczuł na języku słodki, gęsty płyn i nagle ogarnęło go nieoczekiwane zadowolenie. Długi czas jeszcze chwycił językiem krople opadłe na sierść. Potem, jak gdyby pojmując nagle, skąd płynie ta boska ambrozja, chciwie wlepił lśniące ślepkę w blaszaną

miskę.

Zbliżał się do niej ostrożnie, z godnym uznania poczuciem strategii. Okrążał ją to z lewa, to z prawa, kurczowo naprężając mięśnie, gotów do błyskawicznej ucieczki, jeśli ten przedmiot zechce się nań rzucić.

Wreszcie dotknął noskiem gęstego płynu i nie podniósł łebka, aż wylizał miskę do czysta.

Zgęszczone mleko odegrało poważną rolę przy cywilizowaniu Muskwy. Stało się tym brakującym ogniwiem, które łączyło w jego żywym mózdku pewne zjawiska. Niedźwiadek wiedział, że ta sama ręka, która go pieściła tak czule, zastawiła dlań tę niezwykłą i wspaniałą ucztę, a także ofiarowała mu mięso. Nie tknął mięsa. Natomiast wylizał dno miski, aż lśniło w świetle gwiazd jak lustro.

Pomimo wszystko marzył nadal o odzyskaniu swobody. Tylko, że jego starania w tym kierunku były mniej gwałtowne, a bardziej obmyślane. Z doświadczenia już wiedział, że szarpaniem nie zerwie sznura. Postanowił go przegryźć!

Gdyby gryzł stale w tym samym miejscu, odzyskałby zapewne wolność przed świtem. Ale że męczył się często, więc odpoczywał, a potem zaczynał zazwyczaj gryźć sznur gdzie indziej. O północy miał dziąsła pełne krwi i całkowicie zaprzestał wysiłków. Przyłgął do drzewa i gotów wdrapać się na nie w razie jakiegś groźby, czekał ranka.

Nie zdrzemnął się ani na chwilę. Chociaż nie czuł już nawet wielkiego lęku, okropnie dręczyła go samotność. Tęsknił do Tyra. Piszczął tak cicho, że ludzie znajdujący się o parę kroków nie usłyszeliby go, nawet gdyby nie spali.

Jakże radośnie Muskwa przyjąłby Pipoonaskoosa, gdyby niedźwiadek ów zechciał mu raptem złożyć wizytę.

O świcie Metoosin wylaź pierwszy spod koca. Rozpalił ogień, a szelest i blask zbudziły obu myśliwych. Langdon narzucił ubranie i złożył wizytę Muskwie. Widok wylizanej do czysta miski sprawił mu przyjemność. Krzyknął do Bruce'a i zakomunikował mu, co zaszło.

Niedźwiadek wgramolił się na swoje rozwidlenie konarów, ale pozwolił się pieścić Langdonowi. Myśliwy przyniósł potem z worka z krowiej skóry puszkę zgęszczonego mleka i otworzył ją stojąc tuż pod Muskwą, tak że niedźwiadek widział, jak żółtawobiały płyn wlewa się do miski. A gdy człowiek zbliżył naczynie do jego pyszczka, Muskwa nie zdołał się oprzeć pokusie i przez parę minut chleptał mleko z miski trzymanej przez Langdona. Kiedy jednak Bruce zbliżył się, chcąc popatrzeć na to widowisko, niedźwiadek wyszczerzył wszystkie zęby i zawarczał.

Nieco później, jedząc śniadanie, Bruce mówił:

— Niedźwiedzie oswajają się dziwnie łatwo. Za parę dni ten mały będzie biegał za tobą jak pies!

— Zaczynam go już lubić! — odparł Langdon. — Co to zaczęłaś mi wczoraj opowiadać o Jamesonie i jego misiach?

— Ten Jameson mieszkał w okręgu Kootenay — rozpoczął Bruce. — Żył doprawdy jak pustelnik. Zstępował z gór tylko dwa razy do roku, żeby zakupić trochę żywności. No i oswajał niedźwiedzie. Przez długie lata miał grizli tak wielkiego jak ten, na którego polujemy. Znalazł go malutkiego. A kiedy ich spotkałem, grizli ważył dobre tysiąc funtów i chodził za panem jak pies. Razem chodzili na polowanie i spali przy jednym ognisku. Jameson w ogóle kochał niedźwiedzie i nigdy żadnego nie zabił.

Langdon milczał. Po chwili dopiero rzekł:

— Wiesz co, Bruce, i ja także zaczynam je kochać. Mają w sobie coś, coś niewytłumaczonego, co budzi sympatię. Zdaje mi się, że już niewiele niedźwiedzi zabiję w swym życiu, a może nawet żadnego. Oczywiście nie liczą tego mordercy naszych psów. Ale ten będzie chyba ostatni!

Naraz zacisnął pięści i dorzucił z gniewem:

— Pomyśleć tylko, że wszędzie na terenie Kanady polowanie na niedźwiedzie jest zawsze dozwolone. Doprawdy, to wstyd! Zaliczono je do kategorii szkodników i dozwolono tępić we wszystkich porach roku. Wolno nawet zabijać matkę z małymi! I co tu dużo gadać, ja sam mam na sumieniu takie świństwo. Bydlaki z nas, Bruce, ot co! Myślę nieraz, że noszenie strzelby to zbrodnia, a jednak poluję nadal!

— To leży we krwi — zaśmiał się flegmatycznie Bruce. — Ale co się, u licha, stało z niedźwiadkiem!

Muskwa zsunął się na drugą stronę rozwidlenia konarów i wisiał teraz na sznurze niby powieszony zbrodniarz. Langdon podbiegł, śmiało chwycił niedźwiadka gołymi rękoma, przesunął go ponad rozwidleniem i postawił na ziemi. Muskwa nie ugryzł go i nawet nie warknął.

Resztę dnia Bruce i Metoosin włóczyli się po górach zachodniego łańcucha, a Langdon pilnował obozu i leczył stłuczone poprzedniego dnia na skale kolano.

Większą część czasu spędził w towarzystwie Muskwy. Otworzył puszkę syropu i około południa niedźwiadek biegał już za nim na około drzewa i próbował dosięgnąć garnczka, który Langdon kuszaco trzymał poza jego zasięgiem. Siadał na ziemi, a Muskwa gramolił mu się na kolana i jadł syrop. W tym wieku łatwo było pozyskać uczucie i zaufanie Muskwy.

Czarny niedźwiadek bardzo przypomina małe dziecko. Lubi mleko, słodczyce i lubi tulić się do istot, które są dlań dobre. Jest najmilszym stworzenie ze wszystkich czworonogów — okrągły, miękki, puszysty i tak zabawny, że nieci wkoło siebie dobry humor.

Langdon niejednokrotnie śmiał się do łez z komicznych ruchów Muskwy, a zwłaszcza gdy niedźwiadek rozpaczliwie usiłował wdrapać się na jego nogę, aby dosięgnąć syropu. Muskwa szalał na punkcie tego przysmaku. Nie przypominał sobie, aby matka dawała mu kiedykolwiek coś dobrego, a Tyr zdobywał się najwyżej na ryby.

Pod wieczór Langdon odwiązał niedźwiadka od drzewa i powiódł na sznurze nad brzeg strumienia na przechadzkę. Niósł w ręku garnczek i przystawał co chwila, pozwalając Muskwie liznąć nieco syropu.

Po pół godzinie tych manewrów Langdon puścił sznur i zawrócił do obozu. I Muskwa pobiegł za nim! Był to tryumf i serce Langdona zadrgało żywą radością, jakiej nigdy dotychczas nie zaznał w swym życiu wśród przyrody.

Metoosin nadszedł o zmierzchu i zdziwił się, że Bruce'a jeszcze nie ma.

Noc zapadła, rozpalono ognisko. W godzinę potem kończyli właśnie jeść kolację, gdy zjawił się Bruce dźwigając na ramionach jakiś ciężar. Rzucił go pod drzewem, za którego pniem chronił się Muskwa.

— Futro jak aksamit i mięso dla psów! — rzekł. — Zabiłem go z rewolweru.

Siadł i zabrał się do posiłku.

Po chwili Muskwa ostrożnie zbliżył się do leżących opodal zwłok. Obwąchał je i dziwny dreszcz nim wstrząsnął. Potem zaczął cicho pisać wtulając nosek w miękkie futro, które miało jeszcze w sobie ciepło życia. A potem przez jakiś czas był bardzo cichy.

Zdobycz, którą Bruce przyniósł do obozu i cisnął pod drzewo, był to trup małego Pipoonaskoosa!

ROZDZIAŁ XVI

Tej nocy Muskwa doznał ponownie uczucia wielkiego osamotnienia.

Bruce i Metoosin byli tak znużeni całodzienną, trudną wędrówką po górach, że usnęli zaraz po kolacji. Langdon poszedł za ich przykładem, a trup Pipoonaskoosa pozostał tam, gdzie go Bruce rzucił.

Muskwa nie ruszał się na krok, odkąd zrobił odkrycie, które przyśpieszyło bicie jego serca. Nie znał jeszcze śmierci, nie wiedział, co ma oznaczać ten stan sztywnego bezruchu. A Pipoonaskoos był taki ciepły i miękki, że Muskwa był pewien, iż przyjaciel niebawem zacznie się ruszać. Tym razem nie marzył wcale o bójce z nim!

Znów zrobiło się bardzo cicho. Niebo było pełne gwiazd. Ogień przygasał. Ale Pipoonaskoos ani drgnął! Muskwa począł go obwąchiwać, delikatnie pociągać za jedwabistą sierść i piszczeć cicho, jak gdyby mówił: Nie chcę się z tobą więcej gryźć, Pipoonaskoos! Obudź się i bądźmy przyjaciółmi!

Ale Pipoonaskoos nie ruszał się. Wreszcie Muskwa stracił nadzieję, że go obudzi. Dalej piszcząc do małego tłusciutkiego przeciwnika z zielonej łąki, jak żałuje, że go ścigał, przytulił się do Pipoonaskoosa i usnął.

Nazajutrz rano Langdon zbudził się pierwszy i zaraz poszedł odwiedzić Muskwę, aby zobaczyć, jak niedźwiadek spędził noc. Stał długą chwilę jak urzeczony. Potem dziwne, ciche łkanie wyrwało mu się z piersi.

We śnie Muskwa przytulił się do Pipoonaskoosa tak blisko, jak gdyby czarny niedźwiadek żył, i jakimś trafem ułożył się w ten sposób, że łapka martwego Pipoonaskoosa obejmowała go.

Langdon jak najciszej podszedł zbudzić Bruce'a.

W chwilę potem wrócili obaj razem; przewodnik przecierał oczy. On również osłupiał. Spojrzeli po sobie.

— Patrz, Bruce, a tyś chciał go rzucić psom na pożarcie! — szepnął Langdon.

Bruce nic nie odpowiedział.

Langdon nie dodał ani słowa więcej i w ciągu następnej godziny obaj myśliwi byli milczący. Metoosin przyszedł wkrótce zabrać zwłoki Pipoonaskoosa. Zamiast zdjąć z niego skórę i oddać go psom, wykopano nad brzegiem strumienia dół i pochowano martwego niedźwiadka przykrywając go piaskiem i kamieniami. Tyle przynajmniej zrobili Bruce i Langdon dla Pipoonaskoosa. Tego dnia Bruce i Metoosin ruszyli znowu w góry.

Z poprzedniej wycieczki przewodnik przyniósł okruchy kwarcu, zawierające niewątpliwie złoty piasek, i wrócili z ekwipunkiem do przemywania ziemi.

Langdon w dalszym ciągu oswajał Muskwę. Parokrotnie oprowadzał go w pobliżu psów, a gdy szarpały smycze warcząc, Langdon zbił je raz i drugi. Zrozumiały wreszcie, że Muskwie, chociaż jest niedźwiedziem, nie wolno robić krzywdy.

Po południu Langdon spuścił Muskwę ze sznura na czas dłuższy, a potem złapał go bez

najmniejszego trudu.

Trzeciego i czwartego dnia Bruce i Metoosin zbadali dolinę leżącą na zachód od łańcucha górskiego i doszli ostatecznie do przekonania, że znalezione przez nich kamyki zawierające złoty piasek zostały naniesione przez powódź i nie mogą ich wzbogacić.

Czwartego wieczoru było chłodno i zanosiło się na deszcz, więc Langdon postanowił, że Muskwa spędzi noc u jego boku. Spodziewał się kłopotów. Ale Muskwa był spokojny jak kocię. Gdy się raz wygodnie ułożył, prawie nie ruszał się aż do rana. Przez część nocy Langdon spał z dłońmi na miękkim, ciepłym ciele niedźwiadka.

Rankiem Bruce oznajmił, że jego zdaniem należałoby podjąć na nowo łowy na Tyra. Jednakże stan kolana Langdona nie był jeszcze zadowolający i to pokrzyżowało ich plany. Langdon nie mógł bowiem maszerować dłużej niż pół mili, a pozycja, jaką musiał przybierać siedząc w siodle, sprawiała mu taki ból, że polowanie nawet konno było dla niego wykluczone.

— Nasz misio może sobie poczekać parę dni! — pocieszał Bruce. — Kto wie nawet, czy to nie lepiej. Staruszek przestanie się mieć na baczności.

Minęły jeszcze trzy dni. Langdon promieniał. Obserwując Muskwę zbierał mnóstwo cennych wiadomości z życia niedźwiedzi, a zwłaszcza małych niedźwiadków. Raz po raz notował jakiś ciekawy szczegół.

Psy uwiązano przy dość odległej kępie drzew i Muskwa swobodnie baraszkował po całym obozie. Nie próbował wcale uciekać i przyzwyczał się wkrótce do obecności Bruce'a i Metoosina. Ale jedyną osobą, za którą biegał jak psiak, był Langdon.

Rankiem ósmego dnia od utarczki z Tyrem Bruce i Metoosin dosiadłszy koni i wzięwszy psy ruszyli ku wschodniej dolinie. Bruce miał wrócić do obozu pod wieczór, a nazajutrz rano wraz z Langdonem rozpocząć w dolinie polowanie.

Dzień zapowiadał się śliczny. Z północo-zachodu płynął chłodny powiew. Około dziewiątej Langdon uwiązał Muskwę do drzewa, osiodłał konia i ruszył do doliny. Nie myślał dziś o łowach. Odczuwał tylko radość konnej jazdy, wdychania wiatru i chłonięcia wzrokiem wspaniałego piękna gór.

Przebył trzy do czterech mil wciąż w kierunku północnym i dotarł do rozległej niskiej przełęczy, która otwierała się na zachód wśród gór. Tu ogarnęła go ochota zobaczyć, co się dzieje w drugiej dolinie. Kolano nie dokuczało mu zbyt, toteż skierował się zygżakiem pod górę i po upływie pół godziny wierzchowiec doniósł go niemal do grzbietu przełęczy.

Na koniec musiał stanąć. Szlak był zbyt stromy. Langdon zeskoczył z siodła i szedł dalej pieszo. Na szczycie znalazł się wśród pasma równinnej łąki, obrzeżonego z obu stron spękanyymi murami skał. O ćwierć mili łąka nagle przechodziła w zbocze, opadające ku tej właśnie dolinie, którą Langdon chciał ujrzeć.

Nieco za tą łąką otwierała się kotlina, o której istnieniu Langdon nie miał wcale pojęcia. Dopiero gdy dotarł do jej brzegów, zaraz padł plackiem na ziemię, nieruchomiejąc jak głaz. Po chwili z wolna unióśł głowę.

W odległości stu metrów biło małe źródło, a wokół pasło się stado kozic. Znajdowało się tam około trzydziściorga zwierząt, przeważnie samek i kozłat. Kozły zdołał Langdon wśród stada wypatrzeć tylko dwa.

Przez pół godziny leżał na mchu i obserwował je.

Wreszcie jedna kozica z dwoma małymi podeszła ku ścianie górskiej; inna poszła za nią. Sądząc, że całe stado już odchodzi, Langdon zerwał się szybko i co sił zaczął biec w jego stronę.

Na chwilę kozice, kozły i kozłeta skamieniały, gdy się nagle ukazał. Stały wpół drogi i patrzyły, jak gdyby nie mogły uciekać. Oprzytomniały dopiero, gdy był tuż. Wówczas w dzikiej panice stado skoczyło ku najbliższym stokom. Kopyta zaczęły grać wśród rumowisk skalnych i w ciągu prawie pół godziny Langdon słyszał wśród turni i szczytów w górze głuchy łoskot strącanych przez nie kamieni. Potem kozice stały się drobnymi, białymi punkcikami na granicy nieba i gór.

Langdon ruszył dalej. W chwilę potem zajrzał do drugiej doliny. Ale od wschodu szeroki blok skalny zasłaniał mu widok. Nie był bardzo wysoki i Langdon zaczął się nań wspinać.

Docierał już prawie do szczytu, gdy nagle potknął się na kamieniu i upadł. Padając uderzył z wielką siłą karabinem o kamienny złom.

Nie poniósł żadnego szwanku, poczuł tylko lekki ból w chorej nodze. Ale karabin znajdował się w opłakanym stanie: kolba pękła tuż przy cynglu, a nacisk jego ręki złamał ją całkowicie.

Langdon nie martwił się zbytnio. W obozie miał dwa zapasowe karabiny. Tymczasem piął się dalej, aż dosięgnął gładkiej platformy obejmującej półkolem cypel piaskowca. W odległości stu stóp prostopadła ściana skalna zamykała platformę.

Na południe roztaczał się w dole cudowny widok na ogromną połąć kraju w obramieniu łańcuchów górskich.

Langdon siadł, zapalił fajkę i puszczając kłęby dymu przygotowywał się do podziwiania wspaniałego krajobrazu rozpościerającego się u jego stóp. Przez lornetkę mógł oglądać ogromne przestrzenie dziewiczej ziemi.

O pół mili zaledwie dojrzał stado karibu. Powoli ciągnęły jeden za drugim przez dolinę ku zielonym zachodnim stokom. Dalej nieco pochwycił błysk słońca na skrzydłach wielu śniegułek. Po pewnym czasie w odległości dobrych dwóch mil zobaczył owce pasące się wśród skąpej zieleni zbocza.

Zadał sobie w myśli pytanie, ile też równie żyznych dolin kryją łańcuchy Gór Skalistych rozparte od morza do prerii na przestrzeni trzystu mil i od południa ku północy na przestrzeni tysiąca. Setki, nawet tysiące dolin zapewne! A każda cudowna dolina tworzyła niby odrębny świat, żyła własnym życiem, kryła własne jeziora, strumienie i lasy, własne radości i tragedie.

Ta, na którą patrzył, rozbrzmiewała tym samym cichym pomrukiem wody i tchnęła tym samym ciepłem słonecznym, co inne. A jednak było tu jednocześnie inne życie. Inne niedźwiedzie nawiedzały te zbocza, które mógł mgliście rozróżnić gołym okiem daleko na zachód i na północ. To było nowe państwo, pełne nowych obietnic i nowych tajemnic, i Langdon, urzeczony, zapomniał, że czas płynie, zapomniał o głodzie.

Zdawało mu się, że te setki czy tysiące dolin nie stracą dlań nigdy uroku, że zawsze będzie mógł błądzić w ich labiryncie i że w każdej znajdzie odrębny czar, odrębne tajemnice, odrębne życie, które będzie chciał zgłębić. Były dla niego nieodgadnione. Były tak tajemnicze i zagadkowe jak samo istnienie.

Od setek lat trwał nad nimi pomruk wód, a one ukrywały swe skarby, dawały życie tysiącom istnień i żądały w zamian tysiącznej daniny śmierci. Rozglądając się po zalanym słońcem krajobrazie Langdon zastanawiał się, jakie okazałyby się dzieje tej doliny i ile tomów mogłyby zapełnić, gdyby umiała mówić. Myślał, że przede wszystkim opowiedziałaby o powstaniu świata; o przewalających się po ziemi oceanach; o tej pierwszej dziwnej erze, kiedy nie było w ogóle nocy tylko dzień; o dziwnych i straszliwych potworach, które przechadzały się tam, gdzie teraz widział u wodopoju karibu; o skrzydlatych jaszczurach szybujących po niebie tam, gdzie teraz wzbijał się orzeł.

Mówiłaby potem o chaosie okropnych godzin, gdy ziemia drgnęła w posadach, zapadła noc, a kraj podzwrotnikowy stał się lodową pustynią. Dawne istnienia wygasły i by ożywić martwy kraj, zrodziły się nowe twory. Langdon przypuszczał, że znacznie później zjawił się pierwszy niedźwiedź zastępując mamuty i mastodonty wraz z całą plejadą innych potwornych stworzeń. I że ten pierwszy niedźwiedź był przodkiem grizli, którego Langdon miał jutro zabić!

Był tak pochłonięty myślami, że nie usłyszał żadnego szmeru. Ale naraz drgnął.

Wydało mu się, że tuż za nim ziewnął jeden z tych potworów, o których roił przed chwilą. Odwrócił się zwolna i serce zamarło mu w piersi, a krew zastygła w żyłach.

Przecinając mu odwrót, o jakie zaledwie piętnaście stóp stał Tyr, król gór. Powoli kręcił łbem z boku na bok i z rozwartą paszczą obserwował pojmanego wroga.

W ciągu ułamka sekundy Langdon mimo woli chwycił oburącz strzaskany karabin i zrozumiał, że jest zgubiony.

ROZDZIAŁ XVII

Gdy Langdon zobaczył olbrzymiego grizli wpatzonego w siebie, gardło jego wydało zdławiony odgłos: ni to okrzyk, ni to westchnienie. Każda sekunda wydawała mu się wiecznością. Pierwszą jego myślą było uświadomienie sobie własnej bezsilności, absolutnej bezsilności. Nie mógł nawet uciekać. Za sobą miał ścianę skalną, przed sobą stromą przepaść, która z tej strony odgradzała go od doliny.

Znalazł się wobec śmierci równie okropnej jak ta, która mu zabrała psy. Jednakże te ostatnie chwile nie pozbawiły go przytomności umysłu. Widział czerwone ślepia, lśniące mściwym błyskiem. Widział nagą bliznę na grzbiecie, ślad swej własnej kuli, i małą łysinę na łopacie, gdzie wtargnęła druga kula. Zauważywszy to wszystko pomyślał sobie, że grizli rozmyślnie szedł jego tropem po platformie, a teraz przyparł go do skal i przepaści, by spłacić zawiązką wszystkie krzywdy.

Grizli postąpił naprzód, jeden krok tylko, po czym właściwym sobie, powolnym i harmonijnym ruchem stanął dęba. A Langdon nawet w obliczu śmierci uczuł podziw dla wspaniałego piękna niedźwiedzia.

Trwał zresztą bez ruchu jak martwy. Patrzył wprost w oczy Tyra. Wiedział już, co ma uczynić, kiedy potworna bestia rzuci się na niego. Skoczy w przepaść. W dole była szansa ocalenia, jedna na tysiąc. Może uchwyci się dłonią jakiego występu skalnego.

A grizli?

Nagle, przypadkowo spotkał człowieka! Więc to jest istota, która męczyła go ciągłą pogonią i zadała mu rany. Ma ją tak blisko, że może zmiażdżyć jednym ciosem łapy! Jakież to teraz słabe, blade i skulone!

Gdzież jest jego niezwykły grzmot? Gdzie jego palące pioruny? Czemu milczą? Pierwszy lepszy pies zachowałby się dzielniej niż to zwierzę. Lada kundel wyszczerzyłby zęby, warknął, walczył. Ale to coś, co jest człowiekiem, nie czyni nic!

Do potężnego łba Tyra zwolna zakradało się wielkie zwątpienie. Czy to naprawdę ta skulona,

niedołęzna, przerażona istota raniła go? Czuł woń człowieka. Była silna. Nie towarzyszyło jej jednak tym razem uczucie żadnego bólu.

Nie spuszczać oczu z człowieka niedźwiedź opadł z wolna na przednie łapy. Gdyby Langdon się poruszył, zginąłby. Ale grizli nie jest mordercą jak człowiek. Chwilę jeszcze czekał bólu, czekał jakiejś groźby.

Nic!

Tyr był zdumiony. Zniżając łeb węszył i Langdon widział, jak pod gorącym tchnieniem niedźwiedzia podniósł się kurz. Potem przez długie, okropne pół minuty grizli i człowiek mierzyli się wzrokiem. Wreszcie bardzo powoli i z wahaniem Tyr zrobił pół obrotu wstecz. Wydał głuchy ryk. Leniwie ściągnął wargi obnażając kły. Nie, nie warto wszczynać walki z tym drżącym pigmejem o białej twarzy, skulonym na krawędzi skalnej, który nie uczynił żadnego ruchu, aby wyzwąć go do walki.

Grizli wiedział, że nie może iść naprzód, bo platforma była zagrodzona ścianą skalną. Może gdyby dalej otwierała się ścieżka, inny los spotkałby Langdona. Lecz w tej sytuacji Tyr powoli oddalił się w tym kierunku, z którego przybył. Nisko zwiesił wielki łeb, a pazury jego szczękały na kamieniach jak kastaniety z kości słoniowej.

Langdon teraz dopiero poczuł, że jeszcze oddycha i że serce mu bije. Westchnienie niby szloch wyrwało mu się z piersi. Wyprostował się, ale nogi mu osłabły.

Czekał minutę, dwie, trzy. Potem ostrożnie dotarł do zakrętu, za którym znikł niedźwiedź. Nie dojrzał go już. Zaczął wracać własnym śladem ku zielonej przełęczy, rozglądając się i nasłuchując. Wciąż kurczowo zaciskał dłoń na kolbie złamanej fuzji.

Na skraju równiny przypadł do ziemi za ogromnym głazem. O trzysta jardów dalej grizli powolnym krokiem spuszczał się do wąwozu wiodącego w kierunku wschodniej doliny. Dopiero gdy niedźwiedź ukazał się na drugim brzegu wąwozu, a potem znowu znikł, Langdon ruszył w dalszą drogę.

Kiedy dotarł do zbocza, na którym zostawił spętanego konia, Tyr był już niewidoczny. I dopiero gdy Langdon zasiadł już w siodle, zrozumiał, że jest ocalony. Wybuchnął wtedy nerwowym, urywanym, radosnym śmiechem. Badając dolinę nabił fajkę świeżym tytoniem.

— Ty wielki, wspaniały misiu! — zaszeptał i każdy nerw drżał w nim cudownym podnieceniem, gdy po raz pierwszy odzyskał głos.

— Ty... ty bestio o sercu wspaniałomyślniejszym od serca człowieka!

I półgłosem kończył, jak gdyby sam nie zdawał sobie sprawy, że mówi:

— Bo wiesz co, stary, gdybym ja cię tak osaczył, jak ty mnie, to bym cię wyprawił na tamten świat! A ty! Ty osaczyłeś mnie i darowałeś mi życie!

Kłusując do obozu myślał, że ten dzień dopełnił wielkiej przemiany, jaka się w nim dokonywała. Zetknął się z Królem Gór, zajrzał w oczy śmierci i w ostatniej chwili czworonożne stworzenie, na które polował i które okaleczył, okazało mu łaskę.

Oczywiście Bruce tego nie pojmie, nie będzie mógł pojąć. Ale on, Langdon, na całe życie zapamięta tę godzinę i ten dzień. Odtąd nigdy już nie będzie polował na Tyra ani na żadnego niedźwiedzia.

Przybywszy do obozu ugotował obiad i zabrał się do jedzenia w towarzystwie Muskwy. Jednocześnie obmyślał dalsze plany na najbliższe dni i tygodnie.

Zaraz jutro wyprawi Bruce'a na poszukiwanie Metoosina i nie będą już polowali na wielkiego grizli. Potem wyruszą w dalszą drogę w kierunku Skeeny, a może nawet zapędzą się aż do granic Jukonu; stamtąd skręcą na wschód do krainy karibu. To będzie koniec sierpnia lub początek września. Powrócą na łono cywilizacji, idąc preriami ciągnącymi się wzdłuż zboczy Gór Skalistych. Langdon zabierze z sobą Muskwę. Gdy wrócą do krainy ludzi i miast, zawrą pakt wielkiej przyjaźni. W owym czasie nie zastanawiał się wcale nad tym, czym będzie dla Muskwy to wygnanie.

Dochodziła druga. Langdon wciąż jeszcze snuł plan wyprawy po nieznanym północy, gdy rozległ się jakiś dźwięk, który poruszył go i zaniepokoił. Z początku Langdon nie zwrócił nań uwagi; był to zapewne jeden z tysiącznych odgłosów doliny. Ale powoli, stale dźwięk rósł, wybijał się na pierwszy plan.

Wreszcie Langdon wstał z miejsca, w którym leżał wsparty o drzewo, i wyszedł z lasu na otwartą przestrzeń. Muskwa podreptał za nim, a gdy człowiek stanął, brunatny niedźwiadek również się zatrzymał. Nastawił czujnie uszka, zwrócił łebek w kierunku północnym, skąd płynął gwar. Za chwilę Langdon rozpoznał go. Lecz słuch go chyba mylił! To nie mogło być granie sfory! Bruce i Metoosin powinni byli znajdować się wraz z psami daleko na południu; przynajmniej Metoosin, gdyż Bruce może już wraca do obozu.

Gwar szybko stawał się coraz wyraźniejszy i wreszcie Langdon przekonał się, że nie może się mylić. Doliną nadciągały psy. Z nieznanego powodu Bruce i Metoosin zawrócili ku północy, zamiast dążyć na południe.

Sfóra ujadła tym gwałtownym, zażartym ujadaniem, które wieściło mu, że psy są znów na świeżym tropie. Nagle Langdon drgnął. Jak dolina długa i szeroka Bruce mógł puścić psy śladem tylko jednego zwierzęcia — śladem wielkiego grizli!

Przez chwilę jeszcze stał i nasłuchiwał. Potem pognał do obozu, uwiązał Muskwę do drzewa, wziął świeży karabin i poprawił siodło wierzchowcowi. W pięć minut potem pędził cwałem w

kierunku gór, tam gdzie niedawno Tyr darował mu życie.

ROZDZIAŁ XVIII

Tyr usłyszał psy z odległości mili. Ale z dwojakiej przyczyny był jeszcze mniej skłonny do ucieczki niż przed kilku dniami. Samych psów bał się nie więcej niż gromady borsuków czy świstaków gwiżdżących do niego ze skał. Przekonał się, że te stworzenia robią więcej gwałtu niż szkody i łatwo je zabić. Lecz niepokoiło go to, co towarzyszyło psom. Dziś jednak stanął twarzą w twarz z istotą, która wniosła dziwną woń do tych dolin. Nie próbowała go zranić, a on nie uśmiercił jej.

Zresztą, Tyr znowu szukał niedźwiedzicy Iskwao i człowiek nie jest jedyną istotą gotową dla miłości zaryzykować życie.

Rozdarłszy ostatniego psa o zmroku owego fatalnego dnia, gdy ścigano go aż za górę, Tyr postąpił tak, jak się po nim spodziewał Bruce. Zamiast dążyć dalej na południe, zatoczył wielki łuk ku północy. Na trzeci dzień po walce z psami i po stracie Muskwy odnalazł niedźwiedzicę. Tego samego dnia o zmierzchu zginął Pipoonaskoos, a Tyr usłyszał ostry trzask rewolweru Bruce'a. Całą noc i cały następny dzień grizli spędził w towarzystwie Iskwao. Potem znów ją porzucił.

Szukał jej właśnie po raz trzeci, gdy napotkał Langdona w pułapce na skalnej platformie. Wciąż jeszcze węszył bez skutku, gdy po raz pierwszy usłyszał na swym szlaku ujadanie psów.

Wędrował na południe i zbliżał się do obozowiska myśliwych. Trzymał się wyniosłych zboczy pełnych szczelin, pociętych smugami łąk i zawałonych tu i ówdzie wielkimi złomami. Od czasu do czasu spotykał głębokie wąwozy i poszarpane skały. Szedł pod wiatr, chcąc niechybnie pochwycić woń Iskwao, gdy tylko się do niej zbliży.

Usłyszał ujadanie psów, ale nie poczuł ich woni ani nie zwęszył obecności dwu ludzi jadących konno za sforą. W każdym innym wypadku użyłby ulubionego manewru: zmieniłby kierunek, szedłby tak, by mieć wiatr od strony wrogów. Ale dziś chęć odnalezienia Iskwao zabiła w nim ostrożność.

Od psów dzieliło już Tyra mniej niż pół mili, gdy nagle stanął, przez chwilę wciągał powietrze i ruszył truchtem. Zatrzymał się u wejścia do wąskiego jaru. Wąwozem nadbiegała z niżej położonej kotliny Iskwao.

Zdażył spuścić się w dół w porę, aby zabiec jej drogę. Gwałtowne ujadanie sfory było tuż. Niedźwiedzica przystanęła na chwilę, dotknęła nosem nozdrzy Tyra i zaczęła dalej się pięć pod górę nasrożona, kładąc uszy po sobie i warcząc groźnie z głębi piersi. Grizli ruszył za nią pomrukując. Zrozumiał, że jego samka ucieka przed psami, i gdy zdążył pod górę w ślad za Iskwao, znów ogarnęła go śmiertelna, powoli rosnąca wściekłość. Przed tygodniem, kiedy ścigały go psy, był wojownikiem. Ale gdy niebezpieczeństwo zagrażało niedźwiedzicy będącej u jego boku, grizli stawał się wcielonym diabłem bez litości.

Puścił Iskwao przodem, a sam dwukrotnie się odwracał. Spod ściągniętych warg lśniła biel kłów, a wyzwanie rzucane wstecz wrogom rozlegało się niskim grzmotem.

Gdy wyszedł z wąwozu, szczyt górski rzucał nań cień. Iskwao w swej wędrówce ku niebu znikła. Ukryła się w chaotycznym zwałisku skał i głazów opadłych z piaskowcowych turni.

W odległości jakich trzystu jardów ponad Tyrem linia nieba łączyła się z linią gór. Grizli spojrzał wzwyż. Iskwao kryła się wśród skał, a tu było miejsce do walki.

Sfóra była tuż. Psy wypadły z jaru i ujały głośno. Grizli zwrócił się ku nim przodem i czekał.

O pół mili na południe Langdon zobaczył przez lornetkę Tyra. Prawie w tej samej chwili na skraju wąwozu ukazały się psy. Konno dojechał do połowy zbocza, potem zsiadłszy z wierzchowca wspiał się pod górę i podążał ubitą owczą ścieżką prawie na tym samym poziomie co grizli.

Z miejsca, w którym stał, mógł przez lornetkę dojrzeć wielomilowe przestrzenie doliny. Bez trudu odnalazł Bruce'a i Metoosina. Obaj zsiadli z koni u wejścia do jaru. Widział, jak szybko wbiegli w jego głąb i znikli. Wówczas Langdon ponownie zwrócił szkła na Tyra.

Psy atakowały już. Langdon był pewien, że na tym otwartym terenie żaden nie da się zabić. Naraz dojrzał powyżej wśród skalnego rumowiska jakiś ruch. Stłumiony okrzyk wyrwał mu się z piersi. Zrozumiał teraz wszystko, widział bowiem niedźwiedzicę Iskwao, jak pnie się ciągle coraz wyżej ku szczytowi. Wiedział, że drugi niedźwiedź to samka. Wielki grizli — jej towarzysz — został, aby walczyć. Musiał zresztą niechybnie zginąć, jeśli psy zdołają go zatrzymać w miejscu chociaż dziesięć minut do kwadransa. Wówczas bowiem Bruce i Metoosin wynurzą się z wąwozu i znajdą się w odległości niecałych stu jardów.

Langdon schował lornetkę i zaczął biec owczą ścieżką. Przebył bez trudu sto jardów, po czym szlak się rozdzielił na nieskończoną ilość drobnych ścieżyn na zboczu tak kruchym i osypującym się, że przebrnięcie dalszych pięćdziesięciu metrów zajęło Langdonowi pięć minut. A im dalej, tym teren był mniej dostępny.

Langdon biegł zdyszany, a występ skalny zasłonił mu Tyra na parę minut. Przebył ten garb, zbiegł o pięćdziesiąt jardów w dół i nagle stanął nad głęboką szczeliną, która zamykała mu drogę. O pięćset jardów grizli trwał wparty zadem w głązy, olbrzymim łbem zwrócony w kierunku sfory.

Langdon chwycił ustami powietrze, próżno siląc się odzyskać głos. Lada chwila spodziewał się ujrzeć Bruce'a i Metoosina wychodzących z głębi jaru. Przyszło mu zresztą na myśl, że nawet gdyby zdołał krzyknąć, nie mogą go zrozumieć. Bruce nie zdołał przecie pojąć, że chodzi o darowanie życia zwierzęciu, za którym uganiają się od blisko dwu tygodni.

Tyr pognął teraz psy o dobre dwadzieścia jardów w kierunku jaru. Langdon przykląkł za skałą. Pozostał już tylko jeden sposób ocalenia grizli, o ile w ogóle nie było za późno.

Psy cofnęły się o kilka jardów. Zbiegając po zboczu w dół, Langdon wycelował w sforę. Jedna myśl owładnęła jego mózgiem: musiał poświęcić psy albo niedźwiedzia. Ale ten niedźwiedź darował mu dziś życie! Bez wahania pociągnął za cyngiel.

Odległość była znaczna. Pierwsza kula wyrzuciła w powietrze tuman kurzu o pięćdziesiąt stóp przed airedalami. Langdon strzelił po raz drugi. Chybił ponownie. Za trzecim razem trzaskowi jego karabinu zawtórował przeraźliwy skowyt, którego on sam nie usłyszał. Jeden z psów potoczył się zboczem w dół.

Same detonacje wystrzałów nie zaniepokoiły Tyra. Ale gdy zobaczył, że jeden z jego wrogów zwinął się i toczy z góry, grizli powoli zawrócił i schronił się wśród skał. Langdon strzelił jeszcze dwukrotnie, po czym psy wyjąc pognały z powrotem ku wąwozowi. Jeden z przestreloną łapą kulał.

Langdon skoczył na głaz, na którym poprzednio opierał karabin, i objął wzrokiem horyzont. Iskwao dotarła już do szczytu. Przystanąła na chwilę, obejrzała się i znikła.

Tyr szedł tropem swojej samki i skrył się teraz w labiryncie głazów. W chwilę potem z jaru wypadli Bruce i Metoosin i zatrzymali się. Z miejsca, w którym stali, mogli z łatwością sięgnąć kulą aż do szczytu.

Langdon zaczął nagle z podnieceniem krzyżeć, wymachując rękami i wskazując palcem w dół. Bruce i Metoosin dali się podejść, chociaż psy znowu ujadają gwałtownie na właściwym tropie. Myśleli, że Langdon ze swego miejsca widzi niedźwiedzia i że grizli zbiega ku dolinie. Dopiero gdy spuścili się o paręset jardów, stanęli i spojrzeli pytająco na Langdona.

Ze swej skały Langdon obserwował szczyt górski, który Tyr właśnie przekroczył. Grizli przystanął na sekundę, tak jak przedtem przystanąła Iskwao. Rzucił ostatnie spojrzenie na człowieka. A Langdon zerwał kapelusz i powiał nim nad głową.

— Żegnaj mi, stary! — zawołał — życzę ci szczęścia?

ROZDZIAŁ XIX

Tej nocy Bruce i Langdon omawiali dalsze plany. Metoosin palił na uboczu fajkę, pogrążony w upartym milczeniu. Od czasu do czasu spoglądał na Langdona, jak gdyby nie mógł jeszcze uwierzyć w to, co zaszło tego popołudnia. Często potem opowiadał dzieciom, wnukom i członkom swego szczepu, jak to jeden biały człowiek, z którym polował, strzelał do własnych psów, by ocalić życie niedźwiedziowi grizli.

Ten Langdon nie był już dla niego owym dawnym Langdonem. Metoosin miał absolutną pewność, że są to ich ostatnie wspólne łowy. Najwidoczniej biały pan oszalał. Coś mu się popsulo w głowie. Wielki Duch zabrał mu serce i dał je grizli. I sponad fajki Metoosin bacznie obserwował Langdona.

Przypuszczenia jego zamieniły się w pewność, gdy zobaczył, jak Bruce i Langdon robią ze skóry wołowej coś w rodzaju worka, i gdy zrozumiał, że w tym worze miał odbyć wraz z nimi całą podróż niedźwiadek. Nie mogło być zatem cienia wątpliwości, że umysł Langdona szwankuje mocno. W pojęciu Indian nie wróżyło to mu nic dobrego.

Nazajutrz o świcie wszystko było gotowe do długiej podróży na północ. Obaj biali ruszyli przodem, kierując się przez góry ku dolinie, w której po raz pierwszy ujrzeni Tyra. Juczne konie tworzyły za nimi malowniczy łańcuch, a Metoosin zamykał pochód. Muskwa jechał w skórzanym worku.

Langdon był zachwycony i szczęśliwy.

— To najpiękniejsze ze wszystkich moich łowów! — mówił do Bruce'a. — Tak się cieszę, że darowałem życie temu grizli!

— Twoja wola! — mruknął bezceremonialnie Bruce. — Gdyby tak o mnie szło, dawno bym wpakował jego futro na kark Patelni. Ręczę, że każdy turysta bliżej kolei dałby za nie z ochotą sto dolarów do łapy!

— Tak, ale ten żywy grizli jest w moich oczach wart tysiące! — odparł zagadkowo Langdon.

Zawrócił teraz i pojechał odwiedzić Muskwę. Niedźwiadek kołysał się i trzął w worku jak niewprawy jeździec w wieżycze na grzbiecie słonia. Langdon przyglądał mu się jakiś czas, a potem znów przyłączył się do Bruce'a. W ciągu następnych trzech godzin sześciokrotnie zbliżał się do Muskwy i za każdym razem wracał do przewodnika coraz bardziej milczący, jak gdyby coś w sobie ważył.

Dochodziła dziewiąta, gdy ujrzeli kraniec doliny Tyra. Zamykało ją pasmo gór, a strumień ostro skręcał na zachód do wąskiego, stromego wąwozu. Od wschodu wznosiło się zielone, lekko falujące zbocze, po którym konie mogły z łatwością podróżować i które wiodło ku dolinie w kierunku Driftwood. Bruce tędy wybrał drogę.

W połowie skłonu przystanęli, by dać wytchnąć koniom. Muskwa w swym skórzanym więzieniu rozpaczliwie skomlał. Langdon udawał, że go nie słyszy. Uporczywie oglądał się na dolinę.

Jakże była piękna w porannym blasku słońca. Szczyty gór wznosiły się ponad chłodnymi, mrocznymi wodami jeziora, w którym Tyr łowił ryby. Szmaragdowy aksamit traw całymi milami krył zbocza. I gdy tak Langdon patrzył, po raz ostatni doleciał go pomruk muzyki państwa wielkiego grizli.

Dziwnie uderzyło go, iż robiła wrażenie jak gdyby tryumfalnej pieśni, radosnego hymnu, że on odjeżdża nie wyrządźwszy żadnych szkód. Ale czy naprawdę żadnych? Czy słuch jego nie pochwycił w tej muzyce gór nuty smutku, żalu, pełnej skargi prośby?

I znów tuż koło niego Muskwa zapiszczał cicho.

Langdon zwrócił się nagle do Bruce'a.

— Zdecydowałem się już — rzekł stanowczo. — Walczyłem sam z sobą cały ranek. Ale teraz skończone! Kiedy konie wypoczną, ty i Metoosin ruszycie w drogę. Ja cofnę się o parę mil, tak żeby niedźwiadek bez trudu odnalazł swoje strony.

Mówił tonem nie podlegającym dyskusji. Bruce nie odrzekł ani słowa. Langdon wziął Muskwę na ręce i ruszył z powrotem na południe.

Ujechawszy milę doliną znalazł się na rozległej, kwiecistej, wonnej łące, na której rosły kępy jodeł i wierzb. Zeskoczył z konia. Siadł w trawie z Muskwą. Wyjął z kieszeni papierowy woreczek i po raz ostatni karmił Muskwę kawałkami cukru. I kiedy mały, miękki nosek szperał w jego dłoni, Langdon uczył, że duszą go łzy.

Wreszcie zerwał się i skoczył na siodło, a mgła przysłoniła mu oczy. Próbował się roześmiać. Może był słaby. Ale kochał Muskwę i czuł, że porzucając go zostawia w tej dolinie coś więcej niż przyjaźń ludzką.

— Żegnaj, mały! — głos mu się załamywał. — Żegnaj, mały Złośniku! Może kiedyś przyjadę cię

odwiedzić! Będziesz wielkim niedźwiedziem, złym jak sto diabłów. Ale nie strzelę do ciebie! Nigdy, nigdy!

Szybko ruszył ku północy. Ujechawszy trzysta jardów, obejrzał się. Muskwa biegł za nim, ale odległość między nimi się zwiększała.

Langdon pokiwał mu ręką.

— Żegnaj! Żegnaj! — rzucił zdławionym głosem. W pół godziny później spoglądał przez lornetkę z górskiego grzbietu w dół. Muskwa czerniał na zielonym zboczu jak ciemna plamka. Nie biegł już i pełen ufności oczekiwał powrotu przyjaciela.

Langdon, bezkutecznie próbował się uśmiechnąć, zjechał na drugą stronę przełęczy i znikł z życia Muskwy.

ROZDZIAŁ XX

Muskwa dobre pół mili dążył śladem Langdona. Z początku biegł, potem szedł, wreszcie zatrzymał się i siadł jak pies, wlepiając oczy w daleki stok górski.

Gdyby Langdon wędrował pieszo, Muskwa bez wątpienia nie zrezygnowałby z pogoni, dopóki by się nie zmęczył. Ale skórzane więzienie zostawiło mu jak najgorsze wspomnienia. Był stale podrzucany i kołyszany w najprzykrzejszy w świecie sposób. Koń, który go niósł, otrząsnął się dwukrotnie, co dla Muskwy równało się prawie trzęsieniu ziemi. Otóż Muskwa wiedział, że Langdon i skórzany wór oddalili się w tym samym kierunku. Przez jakiś czas siedział i skomlał tęsknie, ale nie ruszył w dalszą pogoń.

Był zresztą pewien, że jego przyjaciel, którego pokochał, lada chwila powróci. Nigdy się nie oddalał na długo. Nigdy go nie zawodził. Więc niedźwiadek zaczął myszkować w trawie szukając „urody wiosny” i psiego zęba. Pilnował jednak szlaku małej karawany i nie oddalał się zbyt daleko.

Cały dzień spędził pośród kwiecistej łąki u stóp zbocza. W słonecznym blasku wydawała mu się

istnym rajem i znalazł na niej wiele ulubionych korzonków. Wygrzebywał je, jadł, a po południu uciał sobie drzemkę. Ale gdy słońce chyliło się ku zachodowi, a na ziemi legły mroczne cienie górskie, zdjął go strach.

Był przecie jeszcze małym niedźwiadkiem i od urodzenia spędził samotnie tylko jedną jedyną, straszną noc po śmierci matki. Niedźwiedzicę zastąpił Tyr, a po nim przyszedł Langdon. Muskwa zatem nie odczuł jeszcze nigdy osamotnienia i pustki nocnych godzin.

Niedźwiadek wczołgał się pod kępę kolczastych krzewów w pobliżu ścieżki i dalej czekał, nasłuchiwał, węszył pełen nadziei. Zabłyśły jasno gwiazdy, ale czar ich nie działał dziś na Muskwę. Dopiero o świcie bardzo ostrożnie opuścił kryjówkę.

Słońce przywróciło mu odwagę i ufność. Rozpoczął powrotną wędrówkę doliną. Woń śladów końskich zwolna zamierała, aż znikła zupełnie. Tego dnia Muskwa posilił się odrobiną trawy i paru korzonkami psiego zęba, a gdy zapadł mrok, znalazł się na zboczu wiodącym ku dolinie, w której przebywali Tyr i Iskwao.

Był znużony, zgłodniały i czuł się niesłychanie opuszczony. Spędził noc w dziupli. Nazajutrz powlókł się dalej, a potem przez wiele jeszcze dni i nocy był sam w wielkiej dolinie.

Przechodził koło stawu, nad którym obaj z Tyrem spotkali starego niedźwiedzia, i chciwie szperał pośród ości. Kroczył brzegiem ciemnej głębi jeziora. Znów widział trzepoczące się w mroku leśnym sylwetki ptaków. Przebył tamę bobrów i spędził dwie noce w pobliżu zwalonych drzew, z których po raz pierwszy oglądał, jak Tyr łowił pstrągi.

Wspomnienie Langdona gasło już w jego pamięci, natomiast coraz częściej wspominał Tyra i matkę. Pragnął ich obecności.

Tęsknił do nich stokroć więcej, niż kiedykolwiek tęsknił do człowieka. Bo Muskwa prędko wracał do stanu dzikości.

Był początek sierpnia, gdy niedźwiadek dotarł do przełęczy i wgramolił się na zbocze, na którym Tyr po raz pierwszy usłyszał huk broni palnej i poczuł jej żądło. W ciągu ostatnich dwu tygodni Muskwa wyrósł szybko, choć niejednokrotnie głodny kładł się spać. I mrok go już nie przerażał. Kroczył głębokim wąwozem, do którego nie zaglądało słońce, a który otwierał się ponad gliniastym kąpieliskiem. Było stamtąd tylko jedno wyjście, toteż w końcu Muskwa trafił na szczyt przełęczy, przez którą uciekał ranny grizli, a Bruce i Langdon gnali jego śladem. I oczom niedźwiadka ukazała się inna dolina — jego dolina ojczysta.

Nie poznał jej oczywiście. Nie ujrzał w niej nic znanego ani powietrze nie kryło w sobie żadnej znajomej woni. Ale była tak piękna, tak pełna przysmaków i słonecznego blasku, że Muskwa wcale nie chciał jej porzucić.

Znalazł całe plantacje „urody wiosny” i psiego zęba. W trzy dni później popełnił pierwszy samodzielny mord. Natknął się na małego świstaka nie większego od rudej wiewiórki i zabił go, zanim zwierzątko zdołało umknąć. Była to wspaniała uczta.

Minął tydzień, nim Muskwa dojrzał do kotliny, powyżej której zginęła jego matka. Gdyby szedł w górę, odnalazłby jeszcze jej kości ogołocone przez dzikie zwierzęta i ptactwo. Po upływie dalszego tygodnia stanął na łączce, gdzie Tyr zabił młodego karibu i wielkiego czarnego niedźwiedzia.

Teraz Muskwa zrozumiał, że jest u siebie!

Przez dwa dni prawie się nie oddalał od tego miejsca uczy i walki. Dniem i nocą oczekiwał Tyra. Musiał czasem zrobić wycieczkę, aby zdobyć żywność, ale po południu, gdy góry zaczynały rzucać długie cienie, powracał do kępy drzew, wśród której grizli ukrył swoją zdobycz ukradzioną potem przez czarnego łupieżcę.

Któregoś dnia w poszukiwaniu korzonków Muskwa zapuścił się dalej niż zwykle. Węszył właśnie u stóp ściany skalnej, o dobre pół mili oddalony od miejsca, w którym zamieszkał, gdy nagle padł nań duży cień. Podniósł oczy i zamarł bez ruchu, a serce tłukło mu się i skakało jak nigdy w życiu.

O dwa kroki stał Tyr! Wielki grizli był również nieruchomy i patrzył na małego przyjaciela. Muskwa wydał radosny, dziecięcy pisk i skoczył ku niemu. Tyr zniżył olbrzymi łeb, wtulił nos w futerko na grzbiecie Muskwy i długą chwilę trwali tak obaj bez ruchu.

Nastały teraz dni cudownych wędrówek i wspaniałych uczt. Tyr oprowadzał Muskwę po tysiącnych zakątkach obu dolin i po górach, które je dzieliły. Nastaly wielkie dni rybołówstwa. Jeszcze jeden karibu padł pod łapą Tyra. Muskwa rósł wzdłuż i wszerz jak na drożdżach, a w połowie października był już wielkości sporego psa.

Nadeszła pora jagód. Tyr wiedział, gdzie rosły nisko w dolinach. Były więc najpierw dzikie maliny, później mydlane jagody, a potem wysmienite czarne porzeczki dojrzewające w chłodnej głębi lasu, prawie tak duże jak wiśnie i prawie tak słodkie jak cukier Langdona. Muskwa przepadał za nimi. Rosły obficie w bujnych gronach na krzakach niemal zupełnie pozbawionych liści i można je było łykać setkami bez najmniejszego trudu.

Wreszcie jednak nadeszła pora, gdy jagody znikły. Było to w październiku. Noce stały się bardzo chłodne i nieraz mijały całe dni bez jednego promienia słońca. Niebo wisiało nisko, pokryte ciemnymi chmurami. Na szczytach gromadził się śnieg w ciężkich zwałach i nie topniał już wcale.

Potem śniegi spadły w dolinę. Rozpostarł się biały całun, mroząc łapki Muskwy, ale wkrótce znikł. Z północy zaczęły dąć ostre wichry. Zamilkł łagodny szmer doliny z dni lata, natomiast nocami rozlegały się jęki i poświst wiatru. Drzewa skrzypiały żałośnie.

Muskwie wydawało się, że zmienia się cały świat. W tych zimnych i mrocznych dniach dziwił się, dlaczego Tyr przebywa uparcie na wyniosłych pochyłościach, gdzie hula lodowaty wiatr, zamiast

szukać w nizinach cieplejszego kąta. Tyr wyjaśniłby mu, gdyby umiał mówić, że wobec nadejścia zimy zbocza gór są jedynym terenem, na którym można znaleźć jaką taką żywność.

W dolinach nie było już jagód; trawa i korzonki straciły wszelką wartość odżywczą. Nie mogli dłużej trwonić czasu na szukanie mrówek lub larw. Ryby kryły się w najgłębszej toni. O tej porze roku karibu miały węch lisa i mogły gnać z wiatrem w zawody.

Tylko na stokach górskich niedźwiedzie miały pewność, że znajdą pożywienie — głodowe pożywienie składające się ze świstaków i koszątek, które Tyr wygrzebywał teraz spod ziemi. Muskwa pomagał mu, jak umiał. Trzeba było nieraz przewracać całe firy z ziemi, aby dokopać się do przytulnej norki, w której ułożyła się do snu zimowego rodzina świstaków. Czasami Tyr i Muskwa ryli godzinami, aby upolować trzy czy cztery małe koszatki, niewiększe od rudych wiewiórek, ale smakowicie wypasione.

Tak minął październik; nadeszły pierwsze dni listopada. Huragany i gwałtowne zawieje śnieżne idące z północy rozhulały się na dobre. Skorupa lodowa osnuła jeziora i stawy, a Tyr uparcie przebywał na zboczach gór. Muskwa nocami dygotał z zimna, pewien, że słońce opuściło już na zawsze ziemię.

Pewnego popołudnia, a było to w połowie listopada, Tyr rozgrzebywał norę świstaków. Naraz przerwał robotę, ruszył prosto w dół ku dolinie i skierował się zdecydowanym krokiem na południe.

Znajdowali się wówczas w odległości dziesięciu mil od wąwozu, który łączył obie doliny Tyra; ale wielki grizli szedł tak szybko, że stanęli tam jeszcze przed nocą.

W ciągu najbliższych dwu dni Tyr zachowywał się tak, jakby życie straciło dlań wszelki sens. W wąwozie nie było wcale żywności. Grizli włóczył się pośród bloków skalnych, węszył, nasłuchiwał i w ogóle postępował w taki sposób, że Muskwa nie zrozumiał z tego nic a nic.

Na trzeci dzień po południu Tyr zatrzymał się wśród kępy karłowatych sosen i począł jeść igliwie obficie rozsiane po ziemi. Zdaniem Muskwy, pokarm ten był marny, jednakże instynkt kazał mu naśladować Tyra. Lizał, więc igły i łykał je nie podejrzewając, że przyroda przygotowuje go w ten sposób do zimowego snu.

O czwartej doszli do otworu głębokiej pieczary, w której Tyr przyszedł na świat. Grizli zatrzymał się tu raz jeszcze, łowiąc nozdrzami wiatr. Zdawał się na coś czekać. Zapadał zmierzch. Ostre wichry dęły ze szczytów. Niebo wisiało czarne, pełne śniegu.

Grizli stał chwilę wetknąwszy łeb i barki do otworu pieczary. Potem wszedł do jej wnętrza. Muskwa podążył za nim. Szli daleko w głąb wśród ciemności czarnej jak smoła.

Robiło się coraz cieplej. Jęk wiatru zamierał, aż stał się tylko szmerem.

Tyr zużył przeszło pół godziny na wygodne ułożenie się do snu. Muskwa zwinął się w kłębek u jego boku. Było mu bardzo ciepło i przytulnie.

Nocą szalała nawałnica i śnieg spadł obficie. Zasypał wąwóz białym puchem. Grubymi zaspami zsuwał się do jaru z góry.

Głęboko otulił świat.

Rankiem nie było już otworu jaskini, nie było skał, nie było czerni ani purpury drzew i krzaków. Wszystko osnuła biel i cisza. Umilkła szemrząca muzyka doliny.

W głębi pieczary Muskwa poruszał się niespokojnie. Tyr westchnął głośno. Potem zapadli w długi sen zimowy. Może snuli nawet marzenia senne.

KONIEC

Spis treści:

Rozdział I-----	2
Rozdział II-----	4
Rozdział III-----	8
Rozdział IV-----	11
Rozdział V-----	14
Rozdział VI-----	18
Rozdział VII-----	23
Rozdział VIII-----	30
Rozdział IX-----	34
Rozdział X-----	38
Rozdział XI-----	40

Rozdział XII-----	45
Rozdział XIII-----	49
Rozdział XIV-----	54
Rozdział XV-----	58
Rozdział XVI-----	63
Rozdział XVII-----	67
Rozdział XVIII-----	70
Rozdział XIX-----	73
Rozdział XX-----	75